

# KUZNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Łódź, 14 października 1946 r.

Nr 40 (58)

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

## PO DYSKUSJI NAD ORDYNACJĄ WYBORCZĄ

Uchwalona ustawa o ordynacji wyborczej nie odbiega w swych zasadniczych postanowieniach od tekstu analogicznej ustawy z 1922 roku. Podobnie jak tamta, w strukturze swej odpowiada wymaganiom pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego.

Ordynacja ta spotkała się z ostrą i namiętną krytyką ze strony Polskiego Stronnictwa Ludowego, wypowiedzianą ustami posła St. Wójcika (por. „Gazeta Ludowa” z dnia 26.IX. 1946). Typ argumentów krytycznych posła Wójcika jest tak znamieny dla stylu myśli politycznej PSL, iż służy mu na ważniejszą i bardziej filozoficzną analizę.

Tok interesującego nas tu rozumowania był taki: Manifest Lipcowy powołuje się na postanowienia Konstytucji Marcowej i uznaje ich moc obowiązującą (to twierdzenie nawiasem mówiąc jest demagogią, gdyż Manifest mówi o stosowaniu się do zasadniczych postanowień konstytucji Marcowej, do jej ducha). Z faktu obowiązywania Konstytucji Marcowej wynika, iż każda zmiana litery jej przepisu jest łamaniem prawa, naruszeniem praworządności, szkodzi anarchią. To też PSL-owska krytyka odrzuca z tego formalnego punktu widzenia nawet te odchylenia od litery konstytucji w obecnej ordynacji, których merytoryczną wartość i życiową potrzebę uznaje. Zasadniczo zatem trzon krytyki stanowi zasada, iż dodatnią wartość społeczną ma jedynie poszanowanie formalnie obowiązującego przepisu, wszelkie zaś uwzględnianie potrzeb życiowych, realnych konieczności jest społecznie szkodliwe, o ile nie może się zmieścić w ramach zastanych, odziedziczonych przepisów i form.

Żadno antyhumanistyczne jest to przekładanie prawa martwego przepisu nad potrzebę żywego człowieka. Od Konstytucji Marcowej minęło przecież 25 lat. Granica, którą nawet ówczesny prawodawca uznał za wystarczającą dla rewizji ustawy zasadniczej! A przecież w tych 25 latach zamknęło się tyle wydarzeń, ile nieraz zamykała historia stulecia. Zrodziły się i zmarły całe ustroje. Wystarczająco zaś zmieniło się chyba oblicze naszego kraju, by zdrowy rozsądek kazał nasze nowe ustawy dostosować do tej realnej zmiany warunków. Ktoś powiedział, że najtrudniej jest przekonywać o rzeczach oczywistych. To też trochę śmieszy mnie moja rola: obrońcy oczywistych praw życia, żywego człowieka, dynamiki społecznej.

Lecz dlaczego nazwałem typ krytycznego rozumowania posła Wójcika tak znamienym?

Bo to nie pierwszy raz słyszymy taką krytykę z tego obozu. Nie da się w świetle faktów historycznych zaprzeczyć, że PSL jest spadkobiercą obozu „londyńskiego” i jego polityki. To oni tak trwali przez całą okupację przy „legalnej” Konstytucji Kwietniowej, jak i dziś bronią zmarłych li-

ter przepisów. Przypomnijmy sobie ich stosunek do reformy rolnej i reform społecznych. Znow gotowi byli uznać merytoryczną wartość i życiową potrzebę. Ale wyżej stawiali uszanowanie formalnej procedury. Ziemia nie miała być według nich wzięta przez chłopów aktem rewolucyjnym, historycznie jedynie możliwym. Miała być oddana przez właścicieli uchwałą sejmową. W praktyce oznaczało to podobnie jak po roku 1920 pogrzebanie wszelkiej myśli o reformie rolnej. Ale obóz „londyński”, obóz PSL — tej lekcji historycznej nie chciał i nie chce przyjąć do wiadomości.

Obiektywnie rzecz biorąc jest to polityka zdecydowanie antyludowa, reakcyjna. U korzeni jej mamy solidaryzowanie się z siłami świadomie wstecznymi. Zasadniczą dyrektywą taktyki PSL jest nieuznanie klasowej struktury społeczeństwa. Jest nie-dostrzeżenie klasowych wrogów postępu i demokracji. Krótko: jest współdziałanie z nimi. Obóz „londyński” był przeciwny rewolucyjnemu przeprowadzeniu reformy rolnej, z fałszywą naiwnością sądził, że nikt tej reformie nie będzie przeciwny. Gdyby doszedł do władzy, z ulgą przyjąłby przegraną i takie potraktowanie reformy rolnej jakie mieliśmy w latach międzywojennych. A taki tylko wynik mogła przynieść taktyka obozu londyńskiego. Taktyka dławienia sił ludowych i bratania się z rodzimym faszyzmem.

Podobnie jest z krytyką ordynacji wyborczej. I tu PSL tropi tylko naruszenie form, zamyka oczy na rzeczywiste niebezpieczeństwo i rzeczywiste potrzeby.

Sprzeciwia się PSL z formalnego punktu widzenia wyłączeniu z głosowania osób współdziałających z reakcyjnymi bandami. Rzeczpospolita ludowa rodzi się w tak doświadczonej krwawym trudzie, a skuteczna walka z siłami zacofania nie wydaje się temu obozowi potrzebna.

Sprzeciwia się PSL z formalnego punktu widzenia nadaniu prawa głosu żołnierzom. Gdy cenny jest dzisiaj każdy głos rzucony na szalę postępu w tym momencie ważenia się losów kraju, PSL „demokratyczne” PSL nie ceni sobie głosów tych, którzy może najgłębiej potrafili związać się z demokracją, przelewając za nią krew.

Sprzeciwia się PSL z formalnego punktu widzenia, zezwoleniu na jednoczesne piastowanie mandatu posła i pełnienie funkcji urzędnika na kierowniczym stanowisku. Gdy cierpimy głód ludzi, gdy brak nam fachowców, gdy tempo odbudowy wymaga dwojenia się każdego, PSL wyżej stawia literę prawa — niż realną potrzebę. A przecież prawodawca 25 lat temu nawet w śnie upiornym nie przewidywał, że Polska straci 7 milionów obywateli, że przez 6 lat nie będziemy kształcili młodzieży, że braki w naszych kadrach wzrosną tak niewiarygodnie.

Sprzeciwia się PSL z formalnego punktu widzenia dostosowaniu ilości mandatów na ziemiach zachodnich do stanu przewidywanego za pół roku, proponując przyjęcie stanu obecnego. Na komisji wysuwali nawet przedstawiciele tego stronnictwa propozycję oparcia się na spisie ludności, a więc uwzględnienie stanu z przed paru miesięcy. Tymczasem życie mówi, że proces zaludniania ziem zachodnich trwa. Wydatne tempo procesu osiedleńczego jest podstawowym warunkiem naszej odbudowy. Mamy realne podstawy do wiary, iż tempo to będzie rosło. Nie pamiętać przy układaniu ordynacji wyborczej, iż sytuacja na Ziemiach Zachodnich nie jest statyczna, ale dynamiczna, byłoby zamykaniem oczu na rzeczywiste życie, byłoby znow antyhumanistycznym lekceważeniem człowieka i jego elementarnych praw, lekceważeniem zasady równości wszystkich obywateli.

PSL szanując tylko przepis formalny, lekceważąc rzeczywistość, jej zmiany i potrzeby, nie chce pamiętać, że wszystkie przepisy, wszystkie instytucje prawne i szerzej społeczne były i są tworzone w interesie określonych sił społecznych, w określonych warunkach.

I proszę mi nie mówić, że to truizm, że mimo to w Anglii wszelkie przeobrażenia tak pomyślnie dokonywały się w ramach legalnej, formalnej procedury. To nieprawda. Zapoznajcie się z warunkami, w jakich legalnie jest poniewierany górnik angielski. Zapoznajcie się z cynicznie i legalnie niezmiennymi ustawami o bezpieczeństwie jego pracy, o ubezpieczeniach społecznych. Co więcej, struktura gospodarstwa Anglii jest taka, iż ciężar klasowego wyzysku w znacznej mierze przesunięty jest tam na kraje kolonialne. Przeczytajcie sobie dzieje walk o prawo zrzeszania się robotników w Indiach. To bardzo nowoczesna historia! Jak pisał w swojej książce „Piętnaście lat walki” Romain Rolland: około roku 1930 biali i kolorowi działacze dostawali po kilkanaście lat więzienia zgodnie z formalną procedurą za samą próbę stworzenia związku zawodowego robotniczego w Indiach. I w Imperium Brytyjskim zatem trzeba mobilizować wszystkie środki dla zwycięstwa sprawy ludowej, jeśli się chce je osiągnąć. I tak musi postępować każdy demokrat w Polsce. Ordynacja wyborcza ma służyć ludowi. To też odbiega od analogicznej ustawy z 1922 r. w tych punktach, w których zmienione warunki społeczne i polityczne, zmienione formy walki z reakcją wymagały nowych postanowień dla dobra sprawy ludowej. Dokonało się to drogą legalnej uchwały naszego ciała ustawodawczego. Obrona zaś litery przepisu i formy procedury z przed 25 lat jest obiektywnie rzecz biorąc, obroną ówczesnego układu sił społecznych. A każdy przyzna, że ówczesny układ sił w Polsce, był mniej korzystny dla demokra-

„W końcu XVIII wieku były dwa szaleństwa. Wzniosłe francuskie, które obaliło stare państwo i obłąkane polskie, które rozłożyło państwo.”

Bolesław Prus

cji niż dzisiaj. PSL zatem krytykując nową ustawę wyborczą, jak zwykle, chce służyć reakcji. Tak się rzecz przedstawia obiektywnie.

Miałem możność słyszeć przemówienie posła Wójcika — czuć w nim było szczerść i głębokie przekonanie. To też nie od rzeczy będzie zatrzymać się nieco nad subiektywną stroną zagadnienia. Wydaje mi się, że tutaj u podstaw mamy zupełnie antyempiryczną, bez kontroli przywoływaną filozofię kultury.

Ludziom z obozu PSL przesłania właściwy pogląd na sprawy społeczne swoisty fetyszizm w traktowaniu instytucji społecznych. Nie umieją dostrzec ich rzeczywistego charakteru pod ładą symbolicznymi pozorami.

Dla nich instytucje społeczne jak i cała kultura mają idealny, pozaludzki byt. Dla danego społeczeństwa mają byt realny, o ile obiektywizują się w procesie swego funkcjonowania w psychikach poszczególnych jednostek. I tak przepis prawny istnieje dla danego społeczeństwa o ile jest w ten sposób obiektywizowany z powagą dostateczną, by obowiązywał. Wszelka krytyka prawa (dokonywana się poza procedurą legalną) jest dla nich powrotem do stanu dzikości. Znika bowiem to, co jest warunkiem tak pojętego istnienia prawa: jego powaga. W ten sposób instytucja prawa — czynnik wysokiej kultury — przestaje istnieć dla zbuntowanego społeczeństwa, które cofa się, wyrzeka kultury.

Nic fałszywszego!

Wszelkie instytucje kulturowe są w swej istocie stosunkami społecznymi. Substratem instytucji kulturowych nie są ani pozaludzkie idealne modele, idealne schematy kulturalnego zachowania się, ani zgodne z ich strukturą przeżywanie tych modeli przez poszczególne psychiki. Instytucje kulturowe istnieją materialnie jako określone stosunki społeczne. Naruszenie ich wprowadza zmiany przewidywalne, zgodne z prawami dynamiki społecznej. I np. ponieważ przepis prawny w tym rozumieniu jest tylko zinstytucjonalizowanym wyrazem żywego stosunku społecznego, bodziec przeobrażeń prawa może i musi być natury poprawnej. Jeśli pojmujemy się kulturę w wyłożonym wyżej Rollandowskim sensie, każde naruszenie czy to idealnego modelu instytucji, czy struktury jej indywidualnego, psychicznego przeżywania niszczyłoby ją bezpowrotnie. Ależ doświadczenie uczy, że instytucje społeczne nie są z mgły i galarety. Wytrzymują surowy ucisk reform, wychodzą z tej opresji doskonalsze. Bo też będąc w istocie, jak powiedziałem, wyrazem określonych stosunków społecznych przeobrażają się tak, i o tyle, o ile przeobrażają się te stosunki. Tak jest i z naszą ustawą o ordynacji, panie posle Wójciku.

Stefan Żółkiewski

APOLONIUSZ ZAWILSKI

# PRZYCZYNY KLĘSKI WRZEŚNIOWEJ\*)

## PRZYCZYNY GOSPODARCZE

Warunki gospodarcze Polski predystynowały ją z góry do klęski, szczególnie w wojnie z Niemcami, zarówno dzięki ogólnemu pozłomowi gospodarczemu jak również polityce ekonomicznej rządów, które nie zdołały wyprowadzić Państwa na drogi pełnego rozwoju przemysłowego.

Potencjał ludzki III Rzeszy przewyższał stan zaludnienia Polski w chwili rozgrywki trzykrotnie. Niemcy były państwem wybitnie przemysłowym, o wielkiej przewadze ludności miejskiej, Polska była krajem rolniczym, a jej przemysł, zniszczony w przebiegu pierwszej wojny światowej, musiał zaczynać pracę od podstaw. Utrata rynków zbytu w Rosji nie pozwoliła rozwinąć Polsce produkcji przemysłowo-rolnej, tak, że była ona niższa niż w 1913 roku, szczególnie w zakresie cukrownictwa, gorzelnictwa, piwowarstwa.

Wartość produkcji przemysłowej Niemiec wyniosła w roku 1929 — 76 miliardów zł; Polski — 5 miliardów zł, produkcja rolnicza Niemiec wyniosła 30,9 miliardów zł, Polski — 12,3 miliardów zł.

## WSKAŹNIKI ROZWOJU GOSPODARCZEGO

### Produkcja przemysłowa

	1928	1930	1932	1935
Polska	100	82	94	66
Anglia	100	98	88	112
Francja	100	110	76	74
Japonia	100	106	109	158
Niemcy	100	87	54	93
St. Zj. A. P.	100	86	58	81
Włochy	100	100	73	—

### Produkcja stali

	1928	1930	1932	1935
Polska	100	86	39	66
Anglia	100	86	62	116
Francja	100	98	61	57
Japonia	100	120	126	231
Niemcy	100	79	40	112
St. Zj. A. P.	100	79	27	64
Włochy	100	89	71	—

### Produkcja energii elektrycznej

	1928	1930	1932	1935
Polska	100	111	86	108
Anglia	100	117	131	188
Francja	100	118	105	122
Japonia	100	116	133	—
Niemcy	100	113	90	133
St. Zj. A. P.	100	108	98	121
Włochy	100	113	119	—

Tak więc różnice gospodarcze między Polską, a innymi państwami, zamiast się wyrównywać, pogłębiały się w zastraszający sposób. Na domiar złego podstawowe gałęzie przemysłu polskiego były opierane przez kapitał zagraniczny, który wywierał swój wpływ na politykę gospodarczą państwa. Węgiel stanowił własność kapitałów obcych w 88,7 proc., nafta — w 86 proc., przemysł hutniczy — 73,8 proc.

Zasadniczym systemem gospodarki narodowej był system kapitalistyczny. Jednak nie był to kapitalizm XIX wieku, oparty na konkurencji producentów i dynamice rozwoju, lecz schorzał kapitalizm XX wieku, który wynalazł kartele i trusty, mające na celu zagwarantowanie kapitalistom maximum zysku, z bezwzględnym pogwałceniem interesów konsumenta. Ogółem na terenie Polski działało blisko 40 karteli i trustów, obejmujących wszystkie dziedziny życia gospodarczego.

Polska była państwem dłużniczym. Dług zagraniczny musiał być spłacany w złocie, skutkiem czego rezerwy złota w Banku Polskim szybko topniały. Tak na przykład pokrycie pieniądza obiegowego w złocie, walutach i dewizach zagranicznych wyniosło 1.1 1928 r. 1.315 mil. zł, zaś 11.10 32 r. tylko 635 milionów. Jedynym ratunkiem w tej sytuacji było uzyskanie nadwyżek eksportu, które były rozliczane w złocie, a więc mogły służyć jako spłata długów. Ponieważ jednak na rynkach zagranicznych panowała wielka konkurencja, przemysł polski musiał znacznie obniżyć ceny dla swoich odbiorców zagranicznych, otrzymując jako ekwiwalent zgodę rządu na koncesje ustalenia cen na rynku wewnętrznym, skutkiem czego dochodziło do takich absurdów, że np. 1 kg cukru w kraju kosztował 1,05 zł podczas gdy w Anglii za kilogram polskiego cukru uzyskiwano 20 gr.

Waluta polska — trzykrotnie zachwiana — od reformy Grabskiego w 1923 roku a

następnie w 1927 stanęła mocno w stosunku do walut zagranicznych, lecz w kraju — szczególnie od czasu kryzysu światowego w 1929 r. — krążyła bardzo opornie, stwarzając głód pieniądza.

Polityka karteli w przemyśle spowodowała bezrobocie, a taniość produktów rolnych — wielki zastój rolnictwa. Przed rządem stał ciągły problem ożywienia życia gospodarczego kraju.

Produkcja ważniejszych artykułów górniczych, hutniczych i przemysłowych w 1937 r. w niektórych krajach:

Rodzaj artykułu	Niemcy	Polska	Czechosłowacja	ZSRR
w milionach ton				
Węgiel kamienny	185	36	17	123
Węgiel brunatny	184,7	—	18	—
Ropa naftowa	0,5*	0,5	—	27,8**
Rudy żelazne	9,8	0,8	1,8	27,8**
Surowica	16	0,7	1,7	14,5
Stal	19,8	1,5	2,3	17,8
w tysiącach ton				
Aluminium	128	—	—	45
Cynk	163	107	—	71
Cement	12 603	1 289	1 350	5 605
Kwas siarkowy	2 050	189	—	1 208**
w tysiącach sztuk				
Samochody	327	—	14	200

\*) Niemcy produkowali prócz tego 7-8 milj. ton benzyny syntetycznej rocznie.

\*\* Rok 1936.

Jakie środki zastosował rząd, aby podtrzymać gospodarkę narodową? Oto zaczął przejmować upadłe fabryki i bankrutowane gospodarstwa rolne w zamian za duże należności skarbowe — na własność państwa. Tak zrodził się etaryzm, który miał ambicję odegrania roli systemu gospodarczego. Jednak rentowność przejętych placówek bynajmniej nie wzrastała; przeciwnie, państwo musiało do swoich przedsiębiorstw ciągle dopłacać. Na ten cel szły pieniądze z podatków i wpływów z monopolii państwowych, które stanowiły olbrzymią pożyczkę w budżecie państwa, bo aż 721 mil. zł, czyli przeszło 25 proc. całego budżetu. W ten sposób przeciętny obywatel ponosił trojaki rodzaj ciężar utrzymania państwa. Płacił podatek, kupował artykuły pierwszej potrzeby po cenach znacznie wyższych aniżeli koszt ich produkcji (np. koszt wydobycia tony węgla wynosił 16 zł, cena loco kopalnia — 36 zł) i zaopatrywał się w wyroby monopolów, które mogłyby bez porównania taniej wyprodukować we własnym zakresie. Stan ten odbił się najboleśniej na ludności wiejskiej, hamując rozwój gospodarczy i kulturalny wsi. Skutkiem tego Polska była widownią rozlicznych paradoksów: pociągi osobowe biegały w połowie puste, ale obok toru wlokła się na dalekie odległości chłopiecka furmanka. Jajko kosztowało 3 grosze, lecz dzieci wiejskie głodowały, gdyż duża część zbiorów szła na podatki. Podczas, gdy wielcy obszarnicy na podstawie przyjętych umów indywidualnych mogli korzystać z obniżki, a nawet anulowania podatku, z obory chłopskiej sekwestrował wywodził często ostatnią krowę.

Absurdalność zjawisk gospodarczych ujawniała się z całą wyrazistością w cyfrach. Dochód społeczny chłopów i robotników rolnego wynosił 240 zł rocznie. Inne obliczenia po uwzględnieniu wszystkich elementów produkcji wykazywały, że cała rodzina w ciągu dnia pracy zarabiała 12 gr (dwanaście groszy). Gospodarka wiejska była nieopłacalna, przemysł w zastój z powodu ograniczonego spożycia wewnętrznego i układu stosunków na rynkach zagranicznych.

Jakież wnioski wyciągało z tego stanu rzeczy państwo? Polska była krajem wyraźnie niedorozwiniętym przemysłowo, jednak o dużych zapasach surowca. Kraj wydawał nadmiar żywności, tysiące rąk bezrobotnych w mieście i milionowe rezerwy bezrobotnych na wsi czekały na pracę. Brakło pieniędzy. Robotnicy rolni szukali ratunku na czas robót polnych w emigracji wewnętrznej do okolic żyzniejszych i zewnętrznej — do Saksonii i Lotwy. Bezrobotni walczyli się po kraju w poszukiwaniu chleba. Trzeba było zorganizować te rezerwy, ożywić je prądem wielkiej działalności gospodarczej.

Niestety mimo buńczucznych deklaracji o mocarstwowości i samowystarczalności gospodarczej rząd nie zdobył się na poważniejszą akcję, która by zdołała istotnie poruszyć stan zastój ekonomicznego. Obok, przez granicę, Związek Radziecki z powodzeniem przeprowadzał trzecią pięć latkę, III Rzesza weszła na drogę podporządkowania ciężkiego przemysłu interesom państwa i regulowała produkcję rolniczą. Dzięki wielkim wysiłkom organizacyjnym udawało się zarówno tu jak i tam eliminować z wewnętrznego życia gospodarczego pieniądź oparty na złocie. Waluta polska szczyliła się swoją stałością, jednak nie odgrywała roli, jaka jej jest właściwa — nie stanowiła lepszego łączącego posiadane elementy produkcji dla rozbudowy przemysłu. Jakież można było znaleźć wyjście z tego impasu, który stanowiła droga i powolna droga dla polskiego złotego?

Rząd polski zaangażował się w 2 wielkie akcje gospodarczo-państwowe: budowę portu gdyńskiego od 1924 r. i budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego w przedmiotu wojny. W obu tych akcjach udział kapitału prywatnego był znikomy, gdyż nie chciał on angażować się w inwestycje, których okres amortyzacji i zysku był bardzo odległy. Szedł on jako dalszy rzut rozbudowy, gdy już ożywienie życia na powstałym obszarze, dawało pełną rekojmie zysku. O ile chodzi o eksperyment gdyński, to dał on pozytywne wyniki, gdyż odpowiadał żywiołowej potrzebie młodego państwa, szukającego swego powodzenia gospodarczego w kontaktach gospodarczych z zagranicą i dawał się szybko amortyzować dzięki wpływowi z cel i podatków. Natomiast problem Centralnego Okręgu Przemysłowego był na razie trudniejszy. Miał to być obszar przemysłowy w widłach Wisły i Sanu, przeznaczony w pierwszym rzędzie dla potrzeb zbrojenia. Pomijając ogromne inwestycje wstępne, sam produkt nie był użyteczny w okresie pokojowym, dlatego też przemysł zbrojeniowy był przedsięwzięciem wybitnie deficytowym. Zyskowna działalność prywatna mogła się odbywać tylko na marginesie tego procesu na skutek ożywienia wynikającego z nagromadzenia ludzi, a więc, dopiero wtedy, gdy gros inwestycji zostało poczynionych.

I oto państwo przystępujące do tej akcji znów ominęło tanie siły robocze i tani chleb dla nich, a poszło po linii odległej drogi zdobywania walut zagranicznych. Produkowany z dużym nakładem pracy i środków sprzęt, zamiast zasilić parki własnej armii, szedł śladem cukru, bekonoń i jaj, znów za granicę. W ten sposób nie-możliwość wyjścia z problematyki zagadnień gospodarczych, nieudolność organizacyjna i finansowa, brak energii w ukróceniu nadużyć karteli, a przeciwnie współdziałanie z nimi, wreszcie zapoznanie ogromnych możliwości dynamicznego narodu, złożyły się zgodnie na niedorozwój przemysłowy kraju. Automatem życia gospodarczego nie chciał działać. Zatrzymywał się na przeszkodach braku kredytów i sprzecznych interesów producentów i konsumentów.

Jakież stan ten odbił się na technicznym przygotowaniu wojny?

Brak nam danych produkcyjnych polskiego przemysłu zbrojeniowego, jednak stan ogólny przemysłu jest aż nadto wymowną ilustracją naszego potencjału militarnego. Zasada samowystarczalności w zakresie uzbrojenia zemściła się na nas fatalnie. Przekonał się, że nie utrzymała się ona nigdzie. COP stał się dalszym czynnikiem zahamowania zbrojeń z powodu spóźnienia akcji. Tak samo była spóźniona pożyczka lotnicza, obliczona na 500 bombowców.

Różnice w uzbrojeniu jednostek niemieckich i polskich były znane przed wojną, lecz wtedy czynniki kierownicze utrzymywały, że z chwilą wybuchu wojny jednostki polskie zostaną wyposażone w tak doskonały sprzęt, że przewyższą pod względem uzbrojenia jednostki niemieckie.

Wadliwa gospodarka sprawiła, że nie wyprodukowano sprzętu wojennego w dostatecznej ilości i wojsko w rezultacie wyszło w 1939 r. w pole niedozbrojone, bez tych środków walki, które by pozwoliły mu przeciwstawić się potęgze niemieckiej. W ostatecznej ocenie przemysł polski nie

Uzbrojenie wielkich jednostek polskich i niemieckich w 1939 r

Rodzaj broni	polska		niemiecka		
	dyw. piech.	bryg. kaw.	dyw. piech.	dyw. panc.	dyw. lekka
niemoty lekkie	30	12	8	6	12
haubice lekkie	12	—	36	32	32
działa ciężkie	6	—	30	—	—
			lub 42		
razem	48	12	74 86	38	44
działka ppanc. moździerz	27	12	75	83	112
granatniki	18	—	54	12	12
karabiny masz.	81	—	84	30	30
	369	108	480	300	330
czołgi sam. panc.	—	12 T.K. 3/6	—	4'0	200
	—	—	3	49	48

tylko nie był — wskutek przyczyn ogólnostrategicznych czynnikiem prowadzenia wojny, lecz nie odegrał nawet swej roli w zaopatrzeniu pierwszego rzutu sił zbrojnych.

## PRZYCZYNY SPOŁECZNE

Struktura narodowościowa Polski okresu międzywojennego stanowiła skomplikowaną mozaikę. Blisko 1/3 ludności państwa stanowiły mniejszości. Najliczniejszą mniejszość — 14,3 proc. ogółu ludności — zamieszkuje zwartą masę poł-wschodnią część państwa, tworzyli Ukraińcy. Drugą co do liczebności mniejszością terytorialną byli Białorusini — ok. 1,6 mil. I trzecią Niemcy — ponad 1 milion głów, rozmieszczeni głównie na Pomorzu, Śląsku i w Wielkopolsce. Nadto Polska posiadała ok. 12 proc. Żydów, którzy z wyjątkiem Polski Zachodniej tworzyli zwartą masę wielkowiejską, duże skupiska w województwach centralnych i południowych oraz wyłączną niemal ludność miasteczek na Kresach Wschodnich.

Taki skład narodowościowy wymagał bardzo umiejętnej polityki, aby godzić rozbieżne interesy poszczególnych grup i nie zdrażniać istniejących już antagonizmów. Skład zawodowy ludności wykazywał olbrzymi przerost rolników (72,3 proc. zawodowo czynnych) nad innymi zawodami (górnictwo i przemysł 10,3 proc., handel — 3,7 proc.).

W odróżnieniu od stosunków polskich III Rzesze zamieszkiwała zwartą masę ludność niemiecką o wysokim poczuciu narodowym i dyscyplinie społecznej, zróżnicowana zawodowo (tylko 24,5 proc. rolników, 34,2 proc. robotników).

Państwo polskie w ciągu swego 20-letniego istnienia nie zdołało stworzyć dość atrakcyjnej idei, która by spajała poszczególne warstwy i grupy narodowościowe w jeden jednokowo myślący naród. Zaraz na wstępie swej działalności prawodawczej uchwalilo reformę rolną i ubezpieczenia społeczne. Jednak reforma była martwą literą<sup>\*)</sup>, pozostawiała w rękach obszarników aż 44,8 proc. ogólnej powierzchni, co nie miało precedensu w Europie; ubezpieczenia społeczne obejmowały zbyt szczupłą grupę ludności, aby mogły być odebrane jako dobrodziejstwo. W gruncie rzeczy przynależąca większość obywateli pozostawała poza obrębem intensywnego życia gospodarczego, zaspokajając swoje potrzeby w obrębie zamkniętej gospodarki naturalnej, jak również poza nurtem ogólnonarodowego życia społecznego, grzęznąc w lokalnej zacofanej organizacji gimno-pa-rafialnej.

W tych warunkach doszło do wielkiego strajku robotniczego, który został krwawo stłumiony przy użyciu wojska na ulicach Krakowa w 1925 roku i wielkiego strajku rolnego w 1935 r. Oba te wystąpienia mas miały za podłoże niezadowolony z ogólnego stanu rzeczy.

Skończyła się fiaskiem polityka ugodowa z Ukraińcami, pogrzebana ostatecznie przez pacyfikację wojskową, tak skończyła się współpraca z Żydami po zainaugurowaniu polityki „Polska dla Po-

\*) Do 1938 roku rozparcelowano ogółem 2.654.000 ha gruntu i za serwituty oddano 595.300 ha. W wyniku reformy uwłaszczeniowych, dokonanych przez zaborców, w zaborze rosyjskim do wielkiej wojny dostało się w ręce chłopieckie poza uposażeniem uwłaszczeniowym 2.306.000 ha, za serwituty 602.000 ha; w zaborze pruskim — 438.000 ha, w austriackim — 409.000 ha i za serwituty 300.000 ha (zestawiono na podstawie St. Grabskiego „Historii wsi polskiej“).

\*) por. początek w Nr 39 „Kuźnicy“.

laków". Tak wreszcie skończyła się słaba próba zjednoczenia wsi polskiej dla państwa przez Rydza Śmigłego w Nowosielcach. We wszystkich tych pociąganiach przebijają połowiczność i niezdecydowanie, które tworzyły jaskrawy kontrast z szumnie brzmiącymi frazesami („frontem do wsi” itp.).

W utrzymywaniu bezwładu społecznego nie miała rolę odgrywał kościół katolicki, który wykorzystując swój wielki autorytet w narodzie, pozostawał w cichej i wytrwałej opozycji do poczynań postępowych, zastawiając się celami pozamaterialnymi. W gruncie rzeczy sabotował on wszelkie śmielsze koncepcje reformistyczne i rozniecał nacjonalizm, oparty na tradycjonalizmie obyczajowym i fanatyzmie religijnym.

W ten sposób ludność Polski tworzyła mozaikę poglądów, interesów i dążeń, mozaikę, której nie ożywił ogólnonarodowy interes utrzymania i rozbudowy własnego Państwa.

Dopiero widmo wzmagającego się zagrożenia hitlerowskiego zdołało formalnie zjednoczyć większość narodu dla przewidywanej rozprawy. Lecz wtedy rząd absolutnie nie zdawał sobie sprawy, w jaki sposób chwilowe zjednoczenie wykorzystał. Polska przedstawiała sobą, jak ironizowały pisma opozycyjne, szczególnie obraz narodu na starcie, któremu nie ma kto podać sygnału do biegu, gdyż nikt nie wie, dokąd biec.

Ferment społeczny przenikał do wojska w mniejszym stopniu, niż był w rzeczywistości, gdyż dyscyplina wojskowa, wspólność przeżyć i urok munduru, pozwalały okresowo zatrzeć różnicę pochodzenia i interesów. Polacy przyjmowali służbę jako szkołę obywatelską i szkołę tężyzny i życia. Żydzi oddawali duże usługi w służbie pozaliniowej. Tylko Ukraińcy na skutek nacjonalistycznych tendencji i wrogości wobec Państwa Polskiego postawy stanowili element niepewny. Oni też podlegali najsurowszej kontroli. Na ogół większość oddziałów miała dobrą atmosferę, lecz gdy przyszło czasem uderzyć w wyższy ton ideologiczny, wychodziło to niejasno i słabo. Wyczuwało się brak łącznika ideowego, który by potrafił spajać żołnierzy w szeregach, a szczególnie — po powrocie do swoich środowisk.

Żołnierz uczył się szybko i wchłaniał łatwo kulturę polską, lecz jego wartość bitewna pozostawała w ścisłej zależności od dowódcy. Nie był on samoistnym źródłem inicjatywy i wytrwania.

Ale już „wojna nerwów” wykazała znaczne rysy w morale żołnierskim i całkowitą nieudolność dowództwa w kształtowaniu ducha oddziałów. Powszechnie panuje przekonanie, że rząd polski przeprowadził za późno mobilizację, że w ten sposób nie zdołał skoncentrować wszystkich rozporządzalnych sił i nie dał dostatecznego czasu na konsolidację oddziałów. Jest to zasadniczo ocena zupełnie słuszna. Lecz przypatrzmy się jednostkom, które zostały zmobilizowane na wiosnę 1939 r. Ze zdziwieniem musimy stwierdzić, że nie tylko nie górowały one nad jednostkami zmobilizowanymi w ostatnich dniach sierpnia, lecz były od tamtych gorsze pod względem moralnym. Oto, gdy zmobilizowanym w marcu 1939 r. żołnierzom skończył się ustawowy okres ćwiczeń rezerwy, zaczęli oni domagać się zasiłków dla swoich rodzin. Tymczasem rząd nie wypłacał żołnierzom zasiłków, żądając w chwili próby historycznej podporządkowania swego interesu interesowi Państwa. W zmobilizowanych oddziałach powstał ferment i niezadowolenie. Ujawnił się brak idei, dla której obywatel chciałby oddać swoje siły, egzystencję rodziny i życie. Liczne błędy w polityce wewnętrznej nie były zachęcającą pobudką do podporządkowania interesu osobistego interesowi publicznemu.

Całość polityki personalnej kierownictwa cechowała podobny bezwład, jak w okresie pokoju. Nie stworzyło ono żadnych atrakcji, czy to w formie awansów, przegrupowań personalnych (np. starszych podoficerów do stopni oficerów), czy innych pociągających natury emocjonalnej lub prestiżowej. Mimo zagrożenia wojną, wszystko musiało pozostać po staremu.

W ten sposób armia wkroczyła w okres wojny w stanie równowagi statycznej, nie napędzona żadnymi ambicjami, czy perspektywami nadzwyczajnych wyróżnień honorowych — w czasie tak nadzwyczajnym, jakim jest wojna.

Potęga uderzenia niemieckiego wymagała przeciwstawienia mu prócz broni — po-

stępnej wizji przyszłości, której żołnierz miałby bronić własną pierś — do ostatka. Nic podobnego nie było.

Tymczasem dowództwo przygotowało plan oporu, oparty na zwykłych przesłankach. Wydawało rozkazy cofania się, zarządziło ewakuację władz i pewnych kategorii ludności. Akcje te błyskawicznie doprowadziły do popłochu. Wielomilionowe rzesze uchodźców nie tylko przeszkadzały oddziałom — tarasując drogi, ale ponadto uświadamiały żołnierzowi jego osobisty interes i wskazywały ciągle drogę ucieczki.

Wojna poczęta w warunkach chwilejności politycznej nie wytworzyła ostrza moralnego, które może powstać pod wpływem konsekwentnej polityki. Kościół nie wyszedł z labiryntu wątpliwości moralnych, nie sprzecyzował swego stanowiska wobec hitleryzmu, państwa polskiego i zagadnień wojny.

Pozbawiony oparcia moralnego żołnierz widział ustawiczną groźbę niebezpieczeństwa i tłumy ratujących swe życie; w polu był osamotniony wraz ze swoim bezpośrednim dowódcą, którego wpływ miał charakter wybitnie osobisty i zależny był od indywidualnej wartości oficera. Żołnierz i poborowy z kartką mob. stanowili do końca dobry materiał ludzki do walki. Odnaczali się oni nawet entuzjazmem. Jednak wymagał oni kierownictwa i zdecydowanej woli wytrwania. Tymczasem nieudolność organizacyjna i pustka ideowa kierownictwa wojskowego spowodowały, że jednostki raz rozbite często nie zbierały się więcej. Rezerwiści ze środka i ze wschodu Polski

JAN KOTT

## TYDZIEŃ PARYSKI

10 września 1946 r.

Spytał mnie nagle Aragon co myślę o Malraux. Zawahałem się. Woląłem słuchać, niż mówić. Bąknąłem. „Były to jedne z niewielu książek, które mogłem czytać podczas wojny.”

Aragon wstał i zaczął szybko krążyć po małym pokoju w Bibliotheque Francaise, objając się jak wielka osa o szyby ogromnych szaf z książkami.

— „Niech pan raz jeszcze przeczyta Malraux. Na nowo, od początku, od „Drogi królewskiej”. Bohaterzy nurzają się w polityce. Ale o co naprawdę tam chodzi? Odnajdzie pan tylko rozjątrzenie osobowości, potrzeby, namiętności przygody. Kogo dziś może wzruszać polowanie na lwy, niewinność prostytutki czy podróz do piekieł? Polityka jest wielką przygodą, ale dla nich! Nie dla nas! W każdej powieści Malraux mamy egzaltację czynu, doświadczenie życia, tylko dialogi zamiast o życiu wewnętrznym mówią o pozycjach i konfliktach partyjnych. To właśnie uwodziło w Malraux. I jeszcze jedno: obrona rezerw moralnych intelektualisty, który broni się przed posłuszeństwem partyjnym. Bohaterem Malraux jest zawsze awanturnik polityczny, który przeżywa dramat moralny. Ten dramat kończy się zawsze w ten sam sposób.”

W roku 1932 jeden z młodszych krytyków francuskich ogłosił w prowincjonalnym piśmie literackim długi szkic o Malraux. I zakończył go dla żartu, dla dowcipu, dla efektu następującym zdaniem: Następna książka pana Malraux będzie powieścią o pułkowniku Lawrence'ie”. Malraux wpadł w szal. Nawymyślał kierownikowi literackiemu Gallimarda, oskarżył go o ujawnienie tajemnicy zawodowej. Młody krytyk zgadł. Malraux pisał rzeczywiście powieść o pułkowniku Lawrence'ie.

Nie skończył tej powieści nigdy. Ale za to został sam pułkownikiem Lawrence. W r. 1943 Inteligence Service przedstawiła pułkownika Malraux sztabowi F. F. I. W ten sposób został Malraux dowódcą partyzantki w Covernere.

„Mówił pan — ciągnie dalej Aragon — o wielkim wpływie Malraux na lewicę intelektualną w Europie. Co z tego? Pierwszy raz zacząłem czytać Marksa na złość mojemu profesorowi historii, który był nieprawdopodobnym bigotem. Nie wierzę zresztą, aby na książkach Malraux wychowywać się mogli prawdziwi komuniści, którzy nigdy nie przekroczyli progów lokalu partyjnego”.

— Czy nie sądzi pan — pytam Aragona — że podobną rolę odegrał przed wojną tomizm? Malraux budził podziw rewolucjo-

wracali najkrótszą drogą do domu. Żołnierze z Lubelszczyzny już w pierwszym tygodniu, kiedy każdy bagnet był bezcennym środkiem walki, zjawiali się w swoich wsiach z końmi wojskowymi i wozami pełnymi żywności i paszy.

Lecz rzeczywiście demoralizacja wojska wystąpiła tam, gdzie było ono zmieszane z ludnością. Sprawdziła się w pełni zasada, że demoralizacja obejmuje szeregi od tyłów, od społeczeństwa. Żołnierz na froncie będąc w styczności z nieprzyjacielem,

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

### Towarzyszowi poległemu w bitwie o Polskę

Dzisiaj już nie wiem, jakby uchronić twój ślad.  
Szukam cienia bez twarzy, chłodnego jak ulewa —  
zanurzonemu po szyję w gęstym jeziorze lata,  
bliższe mi są obłoki nad głową i wielkie drzewa.

Wieści jasne, jak szelest światła, wieści, czarne pioruny, przyjmuję w czoło,  
ażeby cię nie budzić niech nie ploszą twego ufnego zgonu;  
chleb z ciała wyrasta gorzki, musiałbyś znowu polec.  
Mordercy wykopują z kryjówek broń.  
Próżnię po tobie w powietrzu szyją zatrute pociski,  
brata przed nożem nie schowa dziurawa pamięć twoja.  
Roztapiasz się na oczach odległy i ciągle bliski:  
mnie także od kuli odgradza ziemia pewniejsza niż zbroja.

### W dolinie

W dolinie wody i wielkich kamieni  
czas ma dłonie z powietrza łagodne,  
biały warkocz potoku płynie nieruchomo.  
Oto wieczność: powolne dzieje,  
których nie rozumiem — syn  
miasta rozniesionego w proch.

Noszę w sobie większą niż milczenie głazów  
trwogę o spokój jadących pustkowiem w noc.



André Malraux

— Wszystkie herezje są do siebie podobne — przerywa mi Aragon. Na rok, czy dwa przed wojną poznałem jednego z najsłynniejszych dominikanów francuskich. Nie można było być od niego bardziej lewicowym. Ze wstrętem mówił o socjalistach, z niechęcią i oburzeniem o polityce Watykanu, z pogardą o Franco. Pienił się na duchowieństwo francuskie. Głosił konieczność natychmiastowej rewolucji. Bardzo mi ten Dominikanin zaimponował. Postanowiłem o nim powiedzieć Maurycemu Thoresowi. Thores wysłuchał, uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu. „Wiesz, Aragon — powiedział — znajdź mi lepiej poczciwego proboszcza wiejskiego, któryby szanował papieża, głęboko wierzył i szczerze kochał Francuzów. Razi mnie ten brak szacunku dla swoich przełożonych. Nie lubię sekciarzy”. Aragon odwraca się raptownie.

— A co się stało z tym lewicowym dominikaninem — pytam.

— Był jedną z głównych figur w Vichy”.

11 września 1946 r.

W Vincennes widzę po raz pierwszy w Paryżu ślady bombardowań. Domy wypalone i rozdarte wyglądają tutaj jak

opuszczony przez dowództwo i społeczeństwo trwał do końca i złożył broń na rozkaz.

Całość pogromu dopełniło wystąpienie czynne ludności ukraińskiej, która napadła na mniejsze oddziały wojska i pojedynczych żołnierzy, rozbrajała ich, a często zabijała. Oto jest smutne memento września 1939 r., które nam wyjaśnia przyczyny masowości popłochu i jeden z powodów paraliżu operacyjnego wojska.

Apoloniusz Zawilski

dekoracje ekspresjonistyczne, ustawione przypadkiem na zielonym przedmieściu. Dalej już tylko podobne do siebie jak dwie krople wody czerwone miasteczka wśród zielonych sadów.

Jadę trzydziści parę kilometrów za Paryż odwiedzić dom sierot żydowskich, które przybyły z Polski. Willa jak wszystkie inne w ogrodzie: dzieci jak wszystkie dzieci. Nie, jak polskie dzieci. Biegają po trawniku szkraby o niebieskich oczach i jasnych włosach, nie powiedziałbyś nigdy, że to żydowskie dzieci. Nie, te dzieci nie są jak wszystkie inne. Na rączce czteroletniego chłopca widzę pięciocyfrową liczbę, wypisaną dosyć niezgrabnie atramentowym ołówkiem.

— Co to?

Chłopak odwraca głowę. Opiekunka wyjaśnia najspokojniej:

— Dzieci bawiły się w obóz koncentracyjny.

Najmłodsze mają cztery lata. Najstarsze — dwanaście. Wiele dzieci nie zna swego nazwiska. Czwooro zostało jako niemowlęta wyniesione z płonącego ghetta w teczce przez policjanta. Wszystkie dzieci, których nazwisk nie można było ustalić, dostały jedno i to samo nazwisko. Nazywają się Korczak: Jaś Korczak i Zosia Korczak i Marysia i Stefa. Jest szesnaście małych Korczaków w tym domu sierot. Nie wiedzą te dzieci, jakie piękne i dumne noszą nazwisko.

Dzieci te były w Rabce, potem w Zakopanem. Razem ze swoimi opiekunami przeszły przez zieloną granicę. Były w Czechosłowacji, przyjechały parę tygodni temu do Francji. Rozmawiam z opiekunami, pytam po co zabrali dzieci z Polski. Czterdziestoletnia kobieta patrzy mi się długo w oczy, potem mówi: „Pan naprawdę nie wie, dlaczego?” Wiem. Parę miesięcy temu byłem w Zakopanem. Przed bramą wili, gdzie mieszkały sieroty żydowskie stał milicjant z pepeszą. Przedtem dzieci były w Rabce. Był napad.

Rozmawiam z dziećmi. Wszystkie ich historie są do siebie podobne.

Sześciolatnia Zosia mówi: „potem, kiedy zabrali matkę, ciotka wzięła mnie na wieś i potem byłem u jednych państwa i oni mnie wyrzucili i schowałam się w sianie, potem posłam gęsi i zapomniałam, że jestem Żydówką i przyjechał jeden pan i zabrał mnie do Krakowa, i potem byłem w Rabce, i tam w nocy do nas strzelali...”

Ośmioletni Stefan mówi: „była likwidacja i myśmy mieszkali w Czortkowie i uciekłem z bratem. I myśmy szli razem i on powiedział, że jak będziemy szli razem, to nas zaraz poznają, i ja poszedłem sam, i potem byłem w młynie i zabrali mnie do

Zakopanego i tam chłopcy mnie bili, nazywali Mojście i rzucali kamieniami..."

W opowiadaniach tych dzieci mieszają się lata okupacji i lata wyzwolenia. Nie raz bardzo trudno zrozumieć o kim mówią dzieci. Kiedy to wszystko było? W Warszawie, w Rabce, w Zakopanem?

O kilkaset metrów od domu sierot jest szkoła wychowawców. Rozmawiam z jej kierownikiem. Skarży się, że z najmłodszymi dziećmi nie może się porozumieć. Umieją tylko po polsku. Starsze będą od jesieni chodzić do szkoły.

— „Czy będą uczyć się po polsku? Choćby tylko czytać — pytam.

Francuz patrzy na mnie długo, bez słowa. Potem mówi:

— Po co mają się uczyć po polsku? Czy wie pan, że kiedyś pierwszy raz kładli je spać przy szerokich oknach naszej willi, dzieci uciekały, bały się, mówiły, że będą strzelać."

— To wspomnienie czasów niemieckich — mówię.

— Nie, proszę pana, to wspomnienie z ostatniego roku.

Milczę. Ale muszę wysłuchać do końca.

— Trzy tygodnie temu — mówi Francuz — była u mnie kobieta, jedna z trzech Żydówek, które uratowały się z Kielc. Przeszła przez zieloną granicę, potem nielegalnie przyjechała tutaj. Nie miała papierów i zezwolenia na pobyt. Nie wiedziałem co z nią zrobić. Dałem jej list do Prefektury. Napisałem trzy słowa: „Żydówka uratowana z Kielc". Po paru dniach wróciła, aby mi podziękować. Dostała zezwolenie na pobyt. Ofiarowano jej mieszkanie. Zaproponowano pracę. Przyjęto ją w taki sposób, że nie wiedziała co ze sobą zrobić...

Przypominam sobie rozmowy z Z. Było to w parę dni po pogromie kieleckim. Nie pojedę za granicę — powiedział — ponieważ wstydę się rozmawiać z cudzoziemcami".

12 września 1946

Parotygodniowy pobyt w Paryżu nie pozwala na pełne zorientowanie się we francuskim ruchu umysłowym. Jeżeli jestem zawiedziony, możliwe, że to moja wina. Periodyków jest więcej niż przed wojną, książek ukazuje się bardzo wiele. Nie sposób wszystkich przejrzeć, a co dopiero przeczytać. Chciałbym się mylić, ale wydaje mi się, że nie można mówić o jakimkolwiek istotnym przełomie we francuskiej literaturze. Niewątpliwie nowe wiersze Eluarda czy Aragona są inne, niż przed wojną. Ale sądzę, że zbyt pochopnie brałiśmy w Polsce ferment i zapowiedź przemian za samą przemianę.

Kiedy pytają mnie, co jest nowego w literaturze francuskiej, odpowiadam z najlepszą wiarą: nic, albo prawie nic. Powtarzam, mogę się mylić, chciałbym się mylić, ale w dziedzinie prozy nie widzę ani jednej ważnej powieści, która by ukazała się po r. 1939. Ani jednej powieści, która by zapowiadała przełom, która by odnawiała gatunek, która by wreszcie była nową sumą ludzkich doświadczeń.

Rok 1918 jest datą w literaturze francuskiej, przełomem w dziedzinie gustu, stylu, ideologii literackich. Gwałtownym wydobyciem na powierzchnię i raptowną konsekracją opozycji literackiej sprzed wojny. Przyszli Proust i Martin du Gard, Gide stał się mistrzem i nauczycielem moralności, nastąpił wybuch ekstremizmu artystycznego. Rok 1918 przetasował wartości literackie, stworzył nową hierarchię. Obecnie nic podobnego nie widać.

Lata wojny i okupacji o wiele silniej wstrząsnęły polską literaturą niż francuską. Ani rok 1939 ani 1944 nie będzie tutaj datą przełomu. Zmieniło się tylko jedno, miejsce, jakie zajmowali wielcy pisarze, jest dzisiaj puste. Literatura francuska żyje nadal rozgłębionym, ale nie ma dziś wielkich pisarzy. Wyszyły oczywiście nowe książki Mauriacca, dramat Gide'a, *Mon Faust* Valery'ego. Każda z tych książek ma swoją wagę, ale są to tylko echa przeszłości.

Literatura francuska sprawia wrażenie stożka, któremu ucięto wierzchołek. Produkcja wydawnicza drugiej klasy nie ulega właściwie żadnym zmianom. Dalej wychodzą setki poprawnie napisanych powieści, mniej lub bardziej dokumentarycznych, mniej lub bardziej psychologizujących. Miesięczniki i tygodniki artystyczne nadal wypełnione są głównie przez ów specjalny rodzaj felietonu literackiego, który jest w istocie inteligentnie napisaną anegdotą

biograficzną. Na ślad istotnych dyskusji intelektualnych bardzo trudno natrafić. Nawet książka Bandy — „La France Byzantine", która atakowała niemal całe ostatnie 50-lecie, nie wzbudziła poważniejszych dyskusji.

O jednym nie wolno zapominać. Patrząc na literaturę francuską z Polski, popelniamy zawsze błąd perspektywy, patrzymy wyłącznie na wierzchołek stożka. Mówimy: nadrealizm się skończył, ponieważ Eluard go porzucił, ponieważ Tzara się go wyparł... Nieprawda. Nadrealizm istnieje, tylko stoczył się o jedno piętrowie niżej. Ma innych czytelników, tych, co dwadzieścia lat temu czytali Lamartine'a, a przed wojną hrabinę de Noailles. U nas wszystko jest na chybiczka, trzydziestoletni pisarze stają się niemal klasykami, dwa czy trzy artykuły ze studenta robią krytykę, każde pokolenie zaczyna na nowo. Tutaj poza drobną grupą umysłów prawdziwie twórczych, istnieje cała masa przeżywalna. Dzisiaj przeżywają nowości intelektualne roku 1925. Dwóch naszych młodych pisarzy natrafiło we Francji na admiratorów Kaffki. Są tutaj i tacy. Bardzo możliwe, że Lautréamont jest lewą lekturą pensjonarek francuskich. Ale nie wiem, czy to jest dostatecznym argumentem, aby tłumaczyć na francuski Gombrowicza czy Schultza. Możliwe, że książki te znalazły by czytelników. Zadziwiająca jest bowiem popularność powieści amerykańskiej, poprzez którą rykoszetem wraca do Francji literatura koszmaru i głębi psychologicznych.

Jest jeszcze egzystencjalizm, ale egzystencjalizm francuski to słowo, za którym kryją się trzy zupełnie różne sprawy. Po pierwsze — odkrycie filozofii niemieckiej Husserla i Heideggera, a za nimi setki

kompilatorów, których Francuzi teraz pracowicie cytują. U nas teksty te czytało się dziesięć lat temu na seminariach filozoficznych. Egzystencjalizm jako prąd filozoficzny nie jest dla nas jakkolwiek nowością. Dla Francuzów jest to jeszcze ciągle podróz w nieznanne.

Rzecz druga — to powieści Sartre'a i Simone de Beauvoir. Mamy tutaj niewątpliwie do czynienia z pisarzem o dużym talentie i wielkiej sugestywności. Przed wojną czytałem książkę Sartre'a „La Mur". Jest to zbiór opowiadań, z których tytułowe podejmuje klasyczny temat literacki — ostatnie 24 godziny skazańca przed śmiercią. Wypracowanie to napisał Sartre w guście ekspresjonistycznym, ale na celującą. W następnych powieściach zastosował Sartre ten sam chwyt, jakim czarował Witkacy. Bohaterowie powieści rozprawiają o filozofii, jest to niewątpliwie bardziej interesujące od zmartwień miłosnych. Do powieści Sartre'a zresztą jeszcze powrócimy.

Jest jeszcze trzeci egzystencjalizm, nazwałbym go towarzyski. Freudyzm był terapią lekarską, potem mniej lub bardziej uporządkowanym systemem filozoficznym, wreszcie prądkiem literackim. Ale obok tego istniał długo freudyzm towarzyski, pewien specjalny język intelektualnego flirtu. Wojna skompromitowała stare języki irracjonalizmu. „Libido" brzmi dzisiaj równie anachronicznie jak „chuć", wszystkie „żywioly" są podejrzone, „krew", „rasa" i „czyn" pachną już zupełnie nieprzyjemnie. Egzystencjalizm jest czymś językiem współczesnego irracjonalizmu. W nowej terminologii pokazuje raz jeszcze koszmar świata i bezsensowność życia. Egzystencjalizm jest czymś „façon de parler", błyskotliwą ewokacją grozy świata

ta w ciężkich i skomplikowanych terminach filozofii niemieckiej. Podziwiam sartrystów, że w tych strasznych terminach potarfią prowadzić dyskusje o miłości.

O jednym jeszcze nie należy zapominać. Coraz trudniej pozostać pisarzem neutralnym, jeżeli chce się być prawdziwym pisarzem. Egzystencjalizm towarzyski pozwala prowadzić flirt intelektualny tym wszystkim, którzy siebie lub innych łączą swoją niezależnością.

13 września 1946

Podziwiałem wczoraj w Louvrze „Męczeństwo Koźmy i Damiana" Fra Angelica. Damian jest przedstawiony w trzech kolejnych pozycjach, z początku szyję ma lekko nadciętą przez miecz pachołka, potem głowa jego unosi się w powietrzu, i wreszcie brocząc kwiatą przewraca się na murawę o parę kroków od odciętej głowy. W tej sali nieznanego malarza „Triumf św. Tomasza z Akwinu". Tomasz stoi na biednym Żydzie, który wije się u jego nóg. Św. Tomaszowi podają ręce Arystoteles i Plato.

Ważyk ma rację. Nie można anegdoty oddzielać od techniki i wizji świata. Realizm w malarstwie nie jest zagażowaniem podobieństwa przedstawionych ludzi czy przedmiotów. Ontologia podobnie jak w literaturze decyduje o stylu i o anegdocie. Poprzez interpretację anegdoty odczytujemy ontologię. I nie ma wielkiego malarstwa bez ontologii. Zwiedzenie galerii obrazów jest nie tylko zajęciem pożytecznym dla kostiumologów teatralnych. Każde wielkie malarstwo było wyznaniem wiary, lekcją wiedzy o świecie, obroną określonych ludzkich wartości. Malarstwo abstrakcyjne jest zawsze dla mnie szkolnym ćwiczeniem, albo rezygnacją.

Jan Kott.

## DZIENNIK LAFCADIA

Pamiętnik hrabiego Galeazzo Ciano (III)

AUTOR

Lafcadio dokonał czynu bezinteresownego: wyrzucił nieznanego człowieka przez okno z pędzącego wagonu. Potem zobaczył, że w nim samym czyn



Hr. Ciano

niczego nie zmienia, zakochał się i postanowił wydać się w ręce policji. „Tu zaczyna się nowa książka" — pisał Gide na jednej z ostatnich kart „Lochów Watykanu". Był to rok 1914. Tu zaczyna się nie tylko nowa książka, tu zaczyna się nowa epoka. Mitologia czynu została, ale czyn przestał być bezinteresowny. Doświadczenia i gesty intelektualistów stały się rzeczywistością polityczną. W roku 1918 Costanzo Ciano bierze udział z d'Annunzio w operowym ataku na Fiume. Pogardę dla świata obiektywnych wartości i kult energii przyjęły od filozofów mieszczańskich bojówki faszystowskie. Lafcadio z „Lochów Watykanu" wolny był zarówno od potrzeb jak od skrupułów, jego następcy wolni byli już tylko od skrupułów.

W Lafcadiu, wyznawcy własnej moralności, po latach dostrzegli krytycy wizjonerski portret młodego faszysty. Kim był Lafcadio Gide'a? Awanturnikiem bez przydziału, kondotierem „in partibus infidelium", niczym! Wyobraźmy sobie kraj Lafcadiu, który zostaje ministrem spraw zagranicznych.

Costanzo Ciano w nagrodę za udział w ataku na Fiume zostaje w roku 1924 ministrem, a w dziesięć lat później przewodni-

czącym faszystowskiej Izby Korporacji. Jego syn ma przed sobą otwartą kacię. Jeszcze jeden zawiedziony intelektualista. Służbę dyplomatyczną: Rio de Janeiro, Buenos Aires, Pekin i Watykan. Potem przychodzi świetne małżeństwo z córką Mussoliniego. W r. 1935 Ciano jest już ministrem prasy: propagandy. Brak mu jeszcze tylko laurów wojskowych. Zdobędzie je bez trudu jako kapitan lotnictwa w wojnie z Abisyńczykami. Edukacja nowego Lafcadiu jest zakończona. W roku 1936 trzydziestotrzyletni Ciano zostaje ministrem spraw zagranicznych. Jest drugą osobą we Włoszech po Duce. Jest jednym z twórców osi, zawiera przymierze z Niemcami i Japonią.

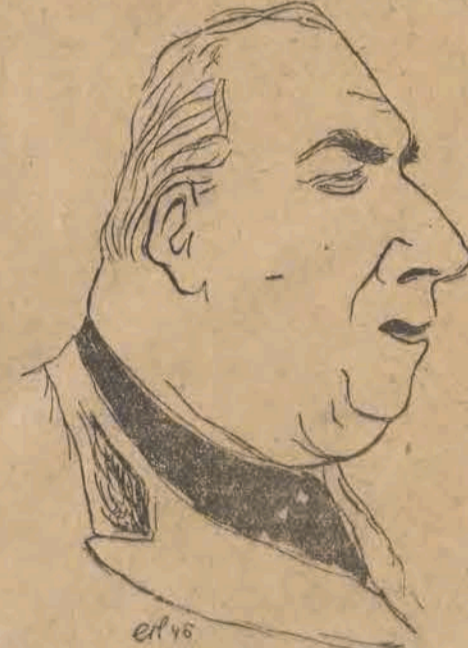
Nie ważne jest dla nas, kiedy Ciano zwął pił w geniusz swego teścia, kiedy przekonał się, że dalszy sojusz z Niemcami prowadzić musi do zguby Włoch. Mniejsza o to, czy było to w r. 1939 czy 1942. Faktem jest, że pod presją Niemiec Mussolini zwolnił Ciano z ministerstwa i mianował posłem w Watykanie. Faktem jest, że Ciano był jednym z głównych spiskowców, którzy na słynnym posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej obalili Mussoliniego. Potem przyszedł proces w Weronie i w styczniu 1944 roku rozstrzelany został Ciano jako zdrajca przez zauszników Mussoliniego.



Gen. Teruzzi

Nie jest ważne, kiedy i kogo zdradził ten najdoskonalszy Lafcadio. Ważne jest, że zostawił pamiętnik, w którym dzień po dniu opisywał wydarzenia z lat 1939—1943. Pierwszy tom jego dziennika ukazał się niedawno nakładem szwajcarskiej firmy

wydawniczej.\*) Autentyczność „Dziennika Ciano" jest podobno bezsporna. Nie ujawnia on zresztą żadnych sensacyjnych wydarzeń i nie warto by go było fałszować.



Minister Federzoni

Co z tego, że broni króla, który nienawdził Niemców i gardził Francuzami, że odpowiedzialnością za przystąpienie Włoch do wojny obarczył Mussoliniego?

„Dziennik" Ciano jest dokumentem psychologicznym, nie politycznym. Jest jedną z najbardziej pasjonujących książek, jakie przeczytałem w ostatnim roku. Lafcadio był cyniczny. „Dziennik" Ciano pisany z brutalną szczerością pokazuje nam wreszcie faszystów takimi, jakimi byli naprawdę, pokazuje nam bandę zwykłych awanturników, głupców i zbrodniarzy. Faszyzm nie jest kategorią psychologiczną, ale istnieje typ psychologiczny faszysty. Ciano go pokazał.

Znałem ludzi rozsądnych, którzy w postaciach Mussoliniego i Hitlera widzieli ucieleśnienie demona zła i inteligencji. Radzę im poczytać „Dziennik" Ciano. Żadne demony, proszę panów, półinteligenci i kryminaliści.

Znałem ludzi przywoitych, którzy po powrocie z Włoch, podziwiając punktual-

\*) Comte Galeazzo Ciano: „Journal Politique 1939—1943" (Edition de la Bacouliere — Neuchatel 1946).

ność pociągów i dobroć dróg, sławili Mussoliniego, jako męża opatrnościowego narodu lazzaronów. Im także radzę przeczytać „Dziennik” Ciana. Żaden mąż opatrnościowy, proszę panów, zwykły chamski kapral, mściwy, zawistny i okrutny.

I jeszcze jedno. Zarzucano mi niejednokrotnie, że dopatrywanie się ścisłych związków pomiędzy mitologią czynu, energii i mocy a ideologią faszystowską jest jedynie zreczoną konstrukcją literacką. Proszę przeczytać „Dziennik” Ciana! Oczywiście, że pogardę dla rozumu i kultu życia i czynu, jako najwyższych wartości, Mussolini i Himmler wpajali znacznie bardziej trywialnie od Bergsona i Nietzschego. Ale powiem szczerze, że przestałem być po wojnie wrażliwy na tego rodzaju subtelności. I dlatego zrobiłem ten mój wybór fragmentów z „Dziennika” Ciana. (jk)

#### KAPRAL

2 maj 1939. „General Carboni, który uchodzi za świetnego znawcę spraw wojskowych, potwierdził mi dziś rano, że stan naszych zbrojeń jest katastrofalny. Tego rodzaju informacje otrzymuję z różnych źródeł i nie mogę ich lekceważyć. Ale co robi Duce? Interesuje go tylko postawa żołnierza: jest cały dramat, jeżeli „prezentuj broń!” źle wypadnie, albo oficer nie umie podnieść nogi w kroku rzymskim, natomiast nie zajmuje się zupełnie brakami, które powinien znać dokładnie. Choć bez obsonki podałem mu negatywne wyniki ankiety Cavagnaziego o przygotowaniu naszego lotnictwa, nie uczynił, absolutnie nic, i dziś w rozmowie z Cavagnazim nie zająknął się nawet w tej sprawie. Dlaczego? Może do tego stopnia obawia się prawdy, że nie chce jej usłyszeć?...”

#### HONOR I UDZIAŁ W ZDOBYCZY

13 sierpień 1939. „Mussolini oświadczył, że honor zmusza go, aby szedł razem z Niemcami. W końcu stwierdza, że chce dostać swoją część łupu w Krocacji i Dalmacji...”

16 sierpień 1939. „Jeżeli Mussolini poczuje, że w grę wchodzi jego honor, gotów będzie potwierdzić zobowiązanie pójścia razem z Niemcami. Dwa dni już chciał to zrobić i tylko z wielkim trudem udało mi się mu w tym przeszkodzić. Byłoby to szalenie, dokonane wbrew woli całego narodu włoskiego, który nie zna prawdziwej sytuacji, ale czując pismo nosem rozwścieczony jest na Niemców. Starace, którego nie można podejrzewać o stronnictwo, oświadczył, że kiedy Niemcy zaatakują Polskę, trzeba będzie czuwać, aby zdusić manifestacje antyniemieckie...”

18 sierpień 1939. „Przed południem spotkanie z Ducem, który jest ofiarą ciągłej zmiany przekonań. Uważa jeszcze ciągle za możliwe, że demokracje nie ruszą się z miejsca i Niemcy dokonają wtedy na własny rachunek wspaniałego interesu, z którego nie chciałby zostać wykluczony. A poza tym obawia się wściekłości Hitlera...”

26 sierpień 1939. „Po odejściu Mackensena, Duce redaguje odpowiedź: przyjmuję do wiadomości deklarację Hitlera i wyraża się, że nie może interweniować. Proponuje raz jeszcze rozwiązanie na drodze dyplomatycznej. Duce jest rzeczywiście wstrząśnięty. Instykt wojenny i poczucie honoru pchają go do wojny, ale rozum go powstrzymuje. Bardzo jednak z tego powodu cierpi...”

#### MITOLOGIA I EKONOMIA

2 czerwiec 1939. „Wczoraj wieczorem po podpisaniu umowy z Argentyną, Guarneri (minister handlu zagranicznego) wyrażał się bardzo pesymistycznie o naszej sytuacji finansowej. Nasze rezerwy zmniejszyły się obecnie do 3.200 milionów. Do końca roku potrzeba nam jeszcze 500 milionów. Guarneri mówi o otwarciu o bankructwie i oświadcza, że aby do tego nie dopuścić, trzeba zahamować politykę imperialistyczną. Duce powiedział mi dziś rano, że jest to jedna z zwykłych „tyrad” Guarneriego, który wyraża opinie i życzenia pewnych kół plutokratycznych. W każdym razie zupełnie się tym nie przejął, ponieważ regularnie od sześciu lat wysłuchuje dramatycznych przepowiedni Kassandry Guarneriego, które się nigdy nie sprawdzają. Ja jednak uważam, że prawda, jak zawsze, znajduje się pośrodku...”

20 stycznia 1940. „Rada Ministrów pod znakiem fantastycznego tańca miliardów, których nie mamy. Budżety, które by wywołały palpacje serca u każdego poza Duce, który zachowuje niewzruszony spokój. Duce twierdzi, że jeszcze nigdy żadne państwo nie upadło wskutek trudności finansowych, rządy zostają obalone z powodu słabości wewnętrznej lub klęski wojskowej, ale nigdy z przyczyn ekonomicznych. Re-

vel (minister skarbu) zaoponował nieśmiało; że Rewolucja Francuska została zrujnowana przez asygnaty, ale Duce nie przyjął dyskusji i przeciął krótko całą sprawę. Mówił również o korzystnych możliwościach inflacji na gigantyczną skalę, ale na szczęście były to wywody czysto akademickie...”

7 luty 1940. „Duce powrócił i miałem z nim długą rozmowę. Sprzeciwia się kategorycznie sprzedaży broni Anglikom, ponieważ nie chce zmniejszać naszego zapasu materiałów wojennych i pragnie pozostać wierny zobowiązaniom, świeżo podpisanym z Niemcami. Powiedział, że „państwa podobnie jak jednostki, powinny trzymać się zasad moralności i honoru”. Nic go nie obchodzi, jak zareagują Anglicy, chociaż przepowiadam, że reakcja Anglików będzie nieunikniona i ostra. Nie podejmuje się również brakiem węgla. Powtarza, że dobrze będzie, jeżeli lud włoski poddany zostanie próbom, które wytrącają go z wiekowego duchowego lenistwa. Jest bardzo surowy dla ludu. „Trzeba go wziąć w garść i trzymać w mundurze od rana do wieczora. I trzeba na niego kija, kija, kija...”

1 marzec 1940. „Prasa angielska komunikuje, że od dnia dzisiejszego węgiel niemiecki zostaje uznany za kontrabandę i podlega konfiskacji. Będziemy mieli wielkie kłopoty z dostawami, nie licząc już trudności pieniężnych. W tym celu Duce oddał do dyspozycji 1 miliard w zlocie z Banku Włoskiego i Rex zabierze ze sobą podczas najbliższej podróży sztabę złota wartości dwóch milionów dolarów. Po odliczeniu tego miliarda, rezerwa w zlocie wynosi około 1360 milionów, wobec prawdopodobnego deficytu 4000 milionów w płatnościach tegorocznych. Nawet wobec tych trudności Duce powtarza, że nigdy żaden ustrój nie upadł z powodu trudności finansowych lub gospodarczych. Chwalil dzisiaj szerokość politycznych poglądów Hitlera, który ma w głowie wielki plan uregulowania życia europejskiego, oparty na wymianie ludności, aby pogodzić granice polityczne z etnicznymi.

Revel przestał być pesymistą w sprawach finansowych, bardzo mnie to zdziwiło. Tego ranka przy golfie wyłożył mi fantastyczną teorię własnego pomysłu, według której złoto przestanie być cokolwiek wartościowe i staniami się bogaczami, sprzedając dzieła sztuki. Jest to, mówiąc prawdę, ostatni balwan, który ostatnio zaczął gorliwie podżegać do wojny, aby spodobać się patronowi...”

#### DUCE JAKO REWOLUCJONISTA

8 marzec 1939. „W Pałacu Weneckim zebranie centralnej korporacji w sprawie uregulowania plac. Duce, bardzo zadowolony z zastosowania środków, powiedział do mnie: „W ten sposób zmniejszymy rzeczywistość różnic społecznych. Socjalizm mówił: wszyscy równi i wszyscy bogaci. Doświadczenie dowiodło, że to jest niemożliwe. My mówimy: wszyscy równi i wszyscy dosyć biedni...”

10 sierpień 1940. „Rada Ministrów. Długi monolog Mussoliniego, przechodzący od sytuacji wojennej do walki z alkoholizmem i nieodczujnej krytyki mieszczaństwa.

„Mieszczaninem jest ten — powiedział — kto nie jest ani robotnikiem ani chłopem, dba tylko o własne interesy”. Co do mnie wolę definicję Flauberta: „Mieszczaństwem jest wszystko, co niskie”. Pojęcie mieszczaństwa ma wartość bardziej psychologiczną, niż ekonomiczną...”

12 sierpień 1940. „Nowy i gwałtowny atak Mussoliniego przeciwko mieszczaństwu. „Kiedy wojna się skończy, zacznę walkę z mieszczaństwem, które jest podłe i zdeprawowane. Trzeba je zniszczyć fizycznie. Zachować co najwyżej 20 na 100”. I dodał: „Uderzę we wszystkich i poczem jak Domenico Gurman: „Bóg wybierze swoich...”

#### MORALNOŚĆ DYNAMICZNA

7 października 1939. „Dałem Mussolinie-mu curriculum vitae Muti’ego. (Muti — lotnik włoski, który na ochotnika zgłosił się do walk w Hiszpanii, tajny agent faszystowski za granicą, sekretarz generalny partii faszystowskiej od października 1939 r. (p. tl.) Duce był bardzo przejęty, ponieważ jest to życiorys godny średniowiecznego rycerza...”

28 stycznia 1940. „Mussolini jest bardzo niezadowolony z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z powodu Muti’ego. Muti zastosował parę środków dyscyplinarnych, które wywołały za wiele hałasu i sprawiły dużą przyjemność kołom antyfaszystowskim. Oburzyło to Mussoliniego. „Trzeba postępować jak kościół — powiedział — który nigdy publicznie nie uderza w swo-

ich. Oskarżyłem kiedyś biskupa Yesi o pederaście. Mimo przytłaczających dowodów oskarżenie moje pozostało wtedy bez odpowiedzi. Ale parę lat później dowiedziałem się, że winny umarł cichutko we Frascati...”

26 marzec 1940. „Przed południem rozmowa z Duce o polityce. Sławił Fryderyka Wielkiego, który rozdając kopniaki kobietom podczas spaceru i waląc kijem księży, którzy przyglądali się żołnierzom, stworzył dzisiejsze Prusy. Jego wywody są przenikliwe i olśniewające, ale popełnia błąd, podziwiając coraz bardziej Prusaków, jako „kategorię filozoficzną”.

11 kwiecień 1940. „Mussolini powiedział: „Wstyd jest zostawać z rękami w kieszeniach, kiedy inni piszą historię. Nie jest ważne, kto wygrywa. Aby naród uczynił wielkim, trzeba go wysłać do walki, choćby nawet kopniakami w tyłek. Tak uczynię. Nie zapomnę nigdy, że w roku 1918 było 540.000 dezertersów we Włoszech. I jeżeli nie skorzystamy z tej sposobności, aby zmierzyć naszą marynarkę z brytyjską i francuską, do czegoż nam było potrzeba 600.000 ton okrętów. Wystarczyłoby mieć statki wartownicze i jachty na spacer z dziewczynkami...”

#### WÓDZ I WIECZNA OJCZYZNA

27 grudzień 1939. „Długa rozmowa z Bocchinim. Skarży się na podejrzliwość Mussoliniego, który uderza po kolei we wszystkich swoich współpracowników. Na zakończenie oświadcza mi, że przydałaby się Mussolinie-mu poważna kuracja antysyfilityczna. Bocchini przypisuje obecny stan Mussoliniego nawrotowi jego dawnej choroby...”

19 marzec 1940. „Mussolini, wspominając spotkanie na Brennerze, doszedł do przekonania, że Hitler nie przygotowuje obecnie ofensywy lądowej. W głębi duszy ma żal do Hitlera, że cały czas sam mówił, zamierzał mu powiedzieć wiele rzeczy, a tymczasem musiał prawie stale milczeć. Nie odpowiadał do jego przyzwyczajeniom dyktatora, a zwłaszcza dziekana dyktatorów...”

29 maj 1940. „Najwyższe dowództwo włoskie powstało tego ranka o jedenastej godzinie w Pałacu Weneckim. Rzadko widziałem Mussoliniego tak szczęśliwego. Zrealizował swoje wielkie marzenie, aby stać się naczelnym wodzem swego kraju w czasie wojny...”

18—19 czerwiec 1940. „Mussolini jest wyraźnie zażenowany. Zdaje sobie sprawę, że odgrywa jedynie rolę drugorzędą. Opo-wiadał mi z goryczą i ironią o swoim spotkaniu z Hitlerem, i zakończył tym, że naród niemiecki nosi już w sobie zarodki klęski, ponieważ jedno ogromne uderzenie z zewnątrz wystarczy, aby wszystko zniszczyć. W rzeczywistości Duce lęka się, że bliski już jest pokój i raz jeszcze wymknie mu się to, co było niespełnionym marzeniem całego jego życia: sława na polu bitwy...”

16 lipiec 1940. „Hitler wysłał długi list do Mussoliniego. Zawiadania go, że zamierza zaatakować Anglię, i jednocześnie w sposób grzeczny ale stanowczy odrzuca naszą propozycję wysłania ekspedycyjnego korpusu włoskiego. Duce jest bardzo przygnębiony tą odmową. Pocięsa się, rozdmuchując w prasie znaczenie bitwy morskiej sprzed tygodnia. Dowiadujemy się jednak, nawet ze źródeł niemieckich, że straty, któreśmy wyrządzili Anglikom, są żadne albo prawie żadne. Jest to również opinia naszej marynarki. Lotnictwo natomiast próbuje wyolbrzymić zwycięstwo...”

13 grudzień. „Katastrofalny telegram nadszedł od Grazianiego. Jest to mieszanina egzaltacji, literatury i kłopotów. Zamierza wyczołgać się aż do Trypolisu, „aby w tej fortecy zachować nasz sztandar”, potem zaraz atakuje Rommela — to znaczy Mussoliniego — za zmuszenie go do rozpoczęcia walki „pchły przeciwko słońowi”. Idę do Mussoliniego i znajduję go zupełnie przybitym. Nie mam mu nic do powiedzenia, ale przez swą obecność chcę mu pokazać, że bardziej niż kiedykolwiek jestem razem z nim. Duce zdaje sobie sprawę z wstrząsu jaki odczuje kraj. Wysłuchuje moich propozycji, aby zrobić coś dla podniesienia morale narodu. Trzeba przemówić do serca Włochów, dać im do zrozumienia, że zagrożony jest nie faszyzm, ale wieczna Ojczyzna, która jest ponad ludźmi, czasem i koteriami...”

#### DWAJ KATOLICY

23 maj 1939. „Himmler długo mówił o stosunkach z kościołem. Ma wiele sympatii dla nowego papieża i uważa za możliwe znalezienie *modus vivendi*. Bardzo go do tego zachęcałem, podkreślając, że układ po-

między Rzeszą a Watykanem przyczyni się do wzmocnienia popularności Osi...”

7 czerwiec 1939. „Serrano Suner (minister spraw wewnętrznych Hiszpanii Franca, jeden z wodzów Falangi), ma duże zastrzeżenia w stosunku do Niemców, głównie z powodów religijnych, ponieważ Suner jest szczerze i głęboko wierzący i oburzają go antykatolickie wystąpienia Niemców...”

#### GOERING I ORDER ANNUNCIATY

23 maj 1939. „Goering, którego znaczenie jest ciągle bardzo duże, chociaż ostatnio nie wzrasta, miał lzy w oczach, kiedy zobaczył Naszyjnik Annunciaty na szyi Ribbentropa. Von Mackensen opowiadał mi, że Goering zrobił mu scenę, dowodząc, że to jemu należy się naszyjnik, ponieważ on był prawdziwym twórcą Osi. Obiecałem Mackenseniowi, że zrobię wszystko, aby Goering mógł także dostać naszyjnik...”

2 października 1939. „Goering się nie pokazał, tragifarsa Naszyjnika Annunciaty, którego nie udało mu się zdobyć, trwa dalej...”

23 kwiecień 1940. „Reuzetti mówił mi znowu o tym, co można nazwać tragifarsą naszyjnika Goeringa. Podobno gruby marszałek odczuwa ciągle jeszcze głęboki ból w sercu, wspominając dzień, w którym na szyi Ribbentropa zobaczył złoty klejnot, przedstawiający Annunciatę! Mówię o tym z Duce, nie można pozwolić, aby dłużej cierpiał pokątny quasi-dyktator Rzeszy...”

20 lipiec 1940. „Po południu wizyta u Goeringa. Miał gorączkę, ale tym niemniej nosił na szyi Naszyjnik Annunciaty. W stosunku od mnie był chłodny i wyniosły. Przepych jego domu zainteresował mnie bardziej, niż on sam i jego zmieniające się humory. Luksus u niego stale wzrasta. Trudno pojąć, że w kraju zsocjalizowanym lub prawie, znosi się bez protestu ten niesłychany luksus tego zachodniego satrapy...”

#### DWIE SYLWETKI

5 grudzień 1939. „Miałem konferencję z Dr Leyem (Führer Niemieckiego Frontu Pracy). Jest to tłusty człowiek, który był kiedyś sławnym pijakiem i przywykł cały czas spędzać w którymś z burdelów Kolonii. Nie jest to osobistość najlepiej wybrana dla dyplomatycznych misji. Jak płyta gramofonowa powtarza wszystko, co mu patron kazał powiedzieć i cofa się ognaręty przeraźliwym łękiem, kiedy stawia mi się pytanie, wychodzące poza to, czego go nau-czono...”

16 luty 1940. „Przyjmuję wodza Młodzieży Rumuńskiej, Sidorowicza. Piękny wódz! Jest to wielkie bydlę, pozbawione jakichkolwiek zainteresowań...”

#### ZACNI DEMOKRACI

12 stycznia 1939. „Spotkanie w Pałacu Chigi z lordem Halifaxem. We dwóch porozumiewaliśmy się lepiej, niż publicznie. Halifax mówi o polityce bez osobistego zainteresowania. Rozmowa toczyła się głównie o Hiszpanii. Halifax nie wydaje się bardzo przekonany i w głębi duszy byłby szczęśliwy, gdyby zwycięstwo Franca rozwiązało całą sprawę...”

13 stycznia 1939. „Krótkie spotkanie pomiędzy Duce, Chamberlainem i mną. Mówiliśmy o zagadnieniu żydowskim: ciekawy fakt, Chamberlain nie znał liczby Żydów w Anglii. Sądził, że jest 60.000. Duce przewidział, że jest ponad 200.000. Chamberlain bardzo się tą sprawą zajmuje, ponieważ przyznał, że nowa imigracja żydowska do Anglii mogłaby spowodować tam wybuch antysemityzmu, który dojrzeje już w wielu okolicach kraju...”

27 stycznia 1939. „Perth (ambasador angielski w Rzymie) przysłał nam streszczenie przemówienia, jakie Chamberlain ma wygłosić w Izbie Gmin, abyśmy mogli zaproponować jakieś zmiany. Duce zaaprobował przemówienie i opatrzył je takim komentarzem: „Sądzę, że po raz pierwszy w historii premier rządu brytyjskiego przedkłada obcemu rządowi projekt swoich przemówień. Zły znak dla nich...”

23 marzec 1939. „Chamberlain wysłał list do Mussoliniego. Wyraża w nim swój niepokój na temat rozwoju sytuacji międzynarodowej i zwraca się o pomoc, aby przywrócić wzajemne zaufanie i ocalić pokój. Duce odpowie po ataku na Albanie, ten list zachęcił go jeszcze do działania, ponieważ widzi w nim dowód bezwładu demokracji...”

16 maj 1939. „Francoit (ambasador Francji w Rzymie), poprosił o rozmowę. Zupełnie się zmienił. Jego poglądy na Włochy i na system bardzo się rozjaśniły i może nawet zmieniły jego ogólne nastawienie. Powiedział mi, że pogardza teraz wolnością prasy i coraz bardziej zbliża się do koncepcji totalistycznych...”

Wybrał i przełożył Jan Kott

ADOLF RUDNICKI

## S Z E K

## I.

Literatura stosunkowo nie poniosła wielkich ofiar, mówię po prostu o liczbie piszących, która nam ubyla w ciągu drugiej wojny światowej. Obecnie — w rok z czymś po — panuje przekonanie, że literatura nasza rozwija się, że rozwija się świetnie. Pewna pisarka podkreśla przy każdej sposobności, że literatura polska ma w tej chwili znaczenie światowe. Wiemy z jakich pobudek to czyni. Chodzi o podtrzymanie ducha narodowego. Znowu chodzi o to. Oczywiście nasze widziały więcej niż czyjeśkolwiek. Doszliśmy na naszej ziemi do szpów granicznych. Opis naszej drogi powinien dać literaturę wyjątkową. Istotnie. Ale w literaturze fakt jest jeden, natomiast reakcja na fakt sto. Jesteśmy — mówię o pisarzach — jak naladowane wory. Lecz nie ma już w nas sił do ponownego przeżycia tego, na cośmy patrzyli. Jesteśmy wypaleni od środka.

Wszyscy w Łodzi wiedzą, że pisarze skoncentrowani są w trzech najładniejszych domach. Mówią, że mieszkamy w tych domach jak na wyspie, jak w wieży z kości słoniowej. Mówią, że nie mamy nic wspólnego ze społeczeństwem i że nie mamy pojęcia jak społeczeństwo żyje. Mówią, że ten hermetyzm nam samym nie wychodzi na dobre, że ta koncentracja jest powodem całkowitego zaniku radości życia, wzmocnienia aktów zawiści, a nawet permanentnego, cichego obłądzenia niektórych. Mówią, że te domy to stojąca woda, żadnego ruchu, żadnego życia, za lat kilka (jeśli nie będzie zmian) skończymy w sanatoriach albo jako urzędnicy cenzury. Niech głupcy mówią co chcą, ale niech mówią. Nareszcie staliśmy się modni.

Był wieczór. Siedziałem w naszej restauracji (gdyż mamy również własną restaurację), przypominającej rozmiarami ujeżdżalnię, a kolorem ścian łaźnię. Miejscowi szabrownicy tańczyli z minami intelektualistów, intelektualistów jak zwykle nie tańczyli. Orkiestra grała jak w domu wariatów — mocno i monotonnie.

Siedziałem z kolegami A. i B. dwiema sławami. Kolega A. ma styl starego Sienkiewicza, ale gdy zaczyna pisać o niedoli czasów sanacyjnych — styl mu się dziwnie gmatwa. Siedziała z nami również Jaśka W. — ruda Jaśka — zakochana w A., który się od czasu do czasu pozwalał kochać. Wszyscy wiedzą, że w tej Jaśce kocha się kolega B. Życie tych trojga jest nam tak znane jak życie burmistrza miasteczka małego miasteczka. Wobec Jaśki B. bywa zawsze napastliwy, ta napastliwość jest mową pożądania. Jaśka nie sobie z tej napastliwości nie robi, zna źródło. Również A. milczy. Tonie w słodczych nasyceniach. O tym wszystkim piszę szczegółowo w mych dziennikach, które ogłoszę po śmierci A. i B. i rudej Jaśki. A teraz muszę przestać robić plotki.

Przy sąsiednim stoliku w towarzystwie znanym mi aż do młodości, ujrzałem nową twarz. Odczułem ssący ból, który budził się w pisarzach — nawet po latach — i lekko przegładają pismo, które ich zwalało lub przemilczało. Ból to również podobny temu jaki odczuwamy gdy zaczynamy o kimś mówić, że to ktoś. Sztuka nasza jest przedstawioną światu propozycją, nie znoszącą innych propozycji. Odczułem ten nie gubiący się nigdy w rozległych składach pamięci ból, który ongiś towarzyszył moim spotkaniom z Maciejem Lewickim. To on właśnie tam siedział.

## II.

Choroba literatury wcześniej nawiedza tych, których nieznane nam siły upatrują na to, by wypowiedziały swe środowisko. Zdaje mi się, że częściej niż w wielkich miastach grasuje ona na sennyh uliczkach małych miasteczek, choć być może, iż występuje tu — jak wiele innych zjawisk — tylko wyraziściej. Miałem wtedy czternaście lat i bardziej niż kiedykolwiek później żyłem książkami. Czulem je jak własny siennik. Mała jak grudniowy piątek miasteczka nasza usposabiała do marzeń, sprzyjała literaturze.

Pewnego dnia mogłem ująć moją mgłę jak sztuczkę tomaszowskiego jedwabiu. W oknie księgarni Seidena leżała książka w okładce imitującej marmurek. Przyjrzyj się jej dobrze — rzekł do mnie Aleksander, który umiał streścić czternaście tomów hrabiego Monte Christo. — Już się przyjrzałem — odparłem. — Autorem jest Maciej Lewicki, syn koszarzaka z Wielkiej. — Niemożliwe — krzyknąłem. — Ja też z początku nie chciałem wierzyć — odparł Aleksander.

Odtąd, na odległość czy podczas swych nieczęstych odwiedzin, nie wiedząc o tym Maciej Lewicki dzwigał mój zachwyt. Uosabiał w mych oczach cud literatury, jak girlsa świat pokus w oczach nauczyciela z Biebrzy. Również nad jego dużym i grubym

ojcem, którego rozmiary oszalały mi, gdyż widziałem ile mnie jest mniej — jak i nad resztą rodziny Lewickich zachwył mój trzymał złoty krążek. Krążek ten świecił tym mocniej, ile że Lewiccy byli bogaci. W umyśle chłopca bogaci ludzie są jak nożem odcięci od ludzi ubogich. Czulem mocno swe dopiero zaczynające żyć serce, gdy mijał obszerny i tłumny zwykły skład koszul. Z nadmiaru wzruszeń nie widziałem nic.

Ojciec kiwał głową. „Anna“, mówisz, Karenina nazywa się książka, którą czytasz. Winnetou, dzentelmen czerwonoskóry, nazywa się druga, którą chowasz pod poduszką, aby broń Boże nie pozostać bez zapasu jak bez usprawiedliwienia na Sądzie Ostatecznym. Nie rozumiem co widzisz w Annie, czy w przygodach dzentelmenta Winnetou. Ja w tym wieku już rozumiałem w czym tkwi prawdziwa słodycz życia: Usłyszeć starego Żabińskiego, odmawiającego Modlitwę Uzupełniającą, spojrzeć na jego promienne oblicze przy Oto korzmy się przed Tobą Panie, gdy rzucił się na ziemię tak, iż cały świat drżał iż kiedyś złamie nogi. Tyś wybrał inny przykład — Maćka Lewickiego...

Gdy ojciec odchodził wracałem do Anny. Tonałem we łzach nad jej losem, nie podobnym do losów kobiet w mym środowisku. Zarówno mężczyźni jak kobiety mego środowiska upadali w noc poślubną, a potem już tylko w łóżach po temu uprawnionych. Odkładałem Annę i biegłem po czekoladkę rumową. — Jakubku — rzekł do mnie blacharz, który przy warsztacie sprzedawał słodycze — radzę ci kostkę firmy Optima. Moja żona już prawie wszystkie sama zżarła. Jakubku, masz dupkę jak świeżo upalona kawka, a moja żona jak stara rzodkiew.

Wracałem do Anny.

Droga przez życie jest drogą rozpraszających się mgieł. W dziesięć lat później mówiono o mnie, że nie uznaję nic świętego. Nie tylko o mnie — o całej młodej literaturze.

Jeśli chodzi o socjalne pochodzenie młodej literatury, wywodziliśmy się zewsząd, ze wszystkich narodowości, warstw i szczebli, od dołów do gór. Nasz skład oddawał wierniej społeczeństwo niż sejm na Więski. Rok rocznie prowincja podrzucała swój kontyngent stolicy, gdzie zrazu wszystko było obce, zamknięte, nigdzie furtki. Oszalała izolacja, mdlił rozpalony asfalt. Po upływie kilku lat tak zwani adeptci pewnego dnia stwierdzili, że nie tylko są już w środku, ale że znajdują się u samego niemal szczytu; szczebli okazało się śmiesznie mało.

Wtedy zaczęliśmy srogo spoglądać wokoło. Zaczęliśmy chodzić z pełnymi brzuchami. Nic nam się nie podobało. Pytaliśmy głośno: gdzie jest literatura? Chyba nie jest literaturą to, czym nas karmią? Gdzie są pisarze? Czy pisarzami nazwać tych starców i pół starców, którzy zmarnowali życie nie napisawszy niczego? Czy pisarzami nazwać te zmarnowane egzystencje wokoło? Gdzie są ci, których powinniśmy nazwać mistrzami, przewodnikami, których chcielibyśmy zostać spadkobiercami? Srogość nasza była bez granic.

Byliśmy głęboko przekonani, wierzyliśmy święcie, że literatura zaczyna się od nas, że nie zostawimy po sobie próżni, w którą sami wpadliśmy. O, mieliśmy tyle taktu aby tego nie wypowiedzieć głośno, ale nawet najmniej domyślni mogli to odczytać z naszych min, z naszych wydytých warg, z naszych pleców, ze sposobu chodzenia, ze sposobu patrzenia na ludzi, ze sposobu mówienia o wszystkim. O, mieliśmy ton! Sam Szekspir nie mógłby mieć lepszego tonu. Lepszego fasonu nie mógłby mieć sam Szekspir, o którym mówiło się, że jest owsem dobry, tak jak się mówiło o Jerzym, o Stefanie, o Witoldzie, o Brunonie — w tej samej płaszczyźnie. Starców i półstarców, całą tę kompanię, która nas otczała, zaledwie tolerowaliśmy, nie istnieli dla nas w głębszym sensie. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że można brać poważnie to co robią. Natomiast sami od nich, od starców i półstarców żądaliśmy maksymalnego obecnania ze wszystkim cośmy sami tworzyli. Cokolwiek wyszło spod naszego pióra, bez względu na objętość, mogli to być osiemdziesięciopięć wierszowy drobniak, było ważne i należało znać. Jeden ze starców rzekł kiedyś do mnie: Ja czytam każde twoje byle-co, żebyś ty tak czasem przeczytał coś mojego. Spojrzałem nie rozumiejąc. Jaktó, ja miałem czytać jego zakalec? Przecież już było wiadomo, że on nie, że raczej ja — o, wierzyłem, że napewno ja. — Czego więc chciał? Prędko gasną gwiazdy. Prędko rozwiewają się mgły.

Młodość to okrutny wiek, pod każdym

względem okrutny. W młodości codzienność potrzeba Sądu Ostatecznego — tak w życiu jak w literaturze. Skąd generacja nas poprzedzająca miała wziąć książki o wadze Sądu Ostatecznego? A my innych nie uznawaliśmy, dla nas świat książek mieścił się w dwóch przegrodach: wielkie i żadne. Te, które nie były wielkie, były żadne. Umieliśmy sto razy mniej od starców, ale czuliśmy sto tysięcy razy więcej. Uczucia brałmy za umiejtność. Nie umieliśmy ani pisać, ani czytać, umieliśmy tylko przeżywać. Ponieważ w ich książkach nie znajdowaliśmy pokarmu dla zjadającego nas głodu, wołaliśmy, że nie ma nic. Nasza dezaprobata była okrutna, ale nie czuliśmy jej okrucieństwa. Jak dzieci.

Polska jest krajem, który codzienność oczekuje zbawiciela. W Polsce młodzi ludzie na prawicy i lewicy w każdy wtorek drukują i drukować chyba będą zawsze sążniste artykuły, zaczynające się od ulubionych w odczytnie słów po raz pierwszy. Na drugi wtorek w tym samym miejscu, omawiając rzecz z tej samej dziedziny, inny młody człowiek niepomny kazania zeszlortkowego, (nikt go zresztą już nie pamięta) zaczyna znowu od po raz pierwszy. W każdy wtorek zaczyna się u nas w każdej dziedzinie od Adama.

Ta nędza narodowa dostarcza najcięższych wzruszeń jednostkom. Ogłosiłem moją pierwszą książkę Starego Żabińskiego i przeżywałem słodki, niezapomniany okres. Ojciec pisał do mnie: Mówiono mi o twojej książce. Małym słowem ważyłeś się tknąć taką potęgę i wydać ją na lup przesławców? Boga się nie boisz? Czy chcesz być wygnanym ze wszystkich światów? A ja nigdy bardziej nie czulem światła. Przed i po mym nazwisku czytałem codziennie po raz pierwszy. Jak grób w kwiaty strojono mnie w nadzieje. Stawiano na mnie.

Maciej Lewicki nie miał tych świetnych zalet, którymi ja błyszczałem. Mogł być czymś dla koszarzaka, dla chłopów w N., ale tu na miejscu był niczym. Nie był ani wpływowy, ani popularny. W okresie największego nasilenia jego sławy nie należało do złego tonu zapytać: O kim tu mowa? O Macieju Lewickim, który... Jakiś świeżo napisany utwór wydobywał go kiedy nie kiedy z głębi bezimienności. Gdy styła wibracja utworu (który...) zapominano również o autorze. Nigdy nie był sztandarem. Żadna z jego książek nie stała się szlagierem, sensacją dnia, gwóździem sezonu. Nie wślwił się zmyśleniem zwanym polemiką, stanowiącą pieprziszół bezcelnych pism. Awangardysty nie atakowali go jako katarzyniarza, biedni awangardysty, którzy, przeciwnie niż Mefisto, chcą dobrze, a wychodzi im źle, chcą więcej a wychodzi mniej. Osoba Macieja Lewickiego nie była ani sztandarowa, ani szlagierowa i nie przyciągała napastników. W atakach „Myśli Narodowej“, „Prosto z Mostu“, „Dwugroszówki“ czy innych pism pravicowych, w bukietie miazmatów i żydokomuny nie brakło oczywiście i jego nazwiska, ale zawsze bliżej końca, na piątym, szóstym miejscu; zarówno wrogów jak przyjaciół można u nas zmieścić w jednym ręku. W atakach pism prowincjonalnych często w ogóle nie wymieniano go. W całości była to sylwetka cicha, nieszkodliwa, nieważna w oczach tak świetnego młodzieńca jakim byłem. I prawdopodobnie nie poświęciłbym mu ani jednej myśli jak Don Juan zamierchlej przegodzie, gdyby nie to, że dochodziły mi wiadomości, że wątpił, że ciągle ośmielał się wątpić i to wtedy, gdy inni leżeli u mych stóp. Ponieważ wątpił, ważnym stało się to, że pochodził z N., i to, że z bogatych Lewickich z ulicy Wielkiej. Mieszkał na tak wspaniałej ulicy było niegdyś mym marzeniem.

Nie wierzył we mnie od pierwszej chwili. Było to na samym początku, oddałem trzecią czy czwartą moją rzecz. Po niespokojnej nocy zerwałem się w poniedziałek o świcie, ledwo doczekałem się pierwszych gazet. Przywieźli je jeszcze ciepłe, lepkie, pachnące. Nie było mojej rzeczy. Do tego już byłem przyzwyczajony iż pisma, jak krawcy, są niesłowne. Doczekałem się jakiejś ludzkiej godziny i zadzwoniłem do Romualda, który zaprosił mnie na wieczór. Wieczorem dowiedziałem się, iż rzecz moja wywołała sensację. Czytano zdanie po zdaniu i pytano go: — Romualdzie, czy ty to rozumiesz? Biedny, drogi Romuald! Gdy mu się tylko zdawało, że rozumie, gdy tylko gdzieś gdzieś coś zabyło sensem — już drukował. Biedny drogi Romuald nie był drobnotkowy i nie był mniemaniam, iż artykuł składa się ze zdań i zdania te powinny wedle jakichś zasad być napisane. Nie rozumiał czego od niego chce główny oponent, który stale krzyczał: I ty to ro-

zumiesz? — Nie męcz mnie — odparł Romuald — przecież to o filmie, młody człowiek piszący o filmie, poeta... Młody człowiek piszący o filmie, rozumiecie. Naturalnie, że szalałem. Naturalnie, że był to popis czystego obłądzenia, którego jednak na nowo przed Romualdem bronilem pazurami. Młodość wierzy, iż kładzie słowa jak granit. Po latach dopiero widzi, że to nie granit, że to papier maché. Pod koniec tej zapamiętałej obrony spytałem o nazwisko napastnika. Wtedy usłyszałem, że był nim Maciej Lewicki.

Było to na samym początku. Nie pamięta się wiecznie. Ci, którzy bazują na niepamięci, nie wychodzą gorzej od tych, którzy liczą na ludzką pamięć. Ale coraz dochodziły mi wiadomości, iż nadal nic z tego co piszę nie znajduje łaski w jego oczach. Ciągłe wątpił. Raz działało to jak ukłucie szpilki, a raz jak uderzenie nożem kuchennym. Młody pisarz mimo wszystko jest samą bezbronnością, samą niepewnością. I łatwo go zaprowadzić na skraj przepaści.

W pamięci pisałem przeciwko niemu artykuły, które mogły być ozdobą prasy faszystowskiej. Uważałem go za jednego z głównych winowajców beznadziejnego stanu literatury. Widok jego imienia w druku wywoływał we mnie gorączkę. Z jego rzeczy nigdy więcej niż parę wierszy nie mogłem czytać. Odrzucało mnie, bolało. Nienawidziłem go. Patrząc na niego w kawiarni czy na ulicy odczuwałem jak ongi w pierwszej młodości wzmoczone życie serca.

## III.

Słyszałem, że ocalał. W Krakowie w Domu Związkowym na Krupniczej, podobnie jak inni żył gromadzkim życiem, biorąc udział we wspólnych obiadach i kolacjach, we wspólnych ekskursjach do teatru — jak na wycieczce. Na samym początku po odzyskaniu niepodległości wyglądało na to, że odegra pewną rolę organizacyjną, ale nie odegrał żadnej. Ktoś zwrócił uwagę na to, że nie pisze prawie. Pisał istotnie niepokojąco mało. Nigdy zresztą nie pisał wiele.

Z daleka rzucił mi ukłon okraszony uśmiechem. Odklonielem się i podjąłem rozmowę z B., do którego poczułem nagłą sympatię. Gdy znowu skierowałem wzrok na sąsiedni stolik, zobaczyłem, że Maciej Lewicki wstaje i kieruje się ku nam.

Pierwszy szczegół na który zwróciłem uwagę gdy podszedł to jego buty, ciężkie, wojskowe, w fałdach, bardzo różniące się od tych, które przywykłem widzieć na jego nogach; przed wojną uchodził za eleganckiego. Drugi szczegół to tłusta plama na ramię jasnych i jakby zbyt cienkich spodniach. Nie wziął po ojcu jego rozmiarów — był niski i chudy. Twarz miał z gatunku tych bardzo małych i bardzo ludzkich zrazem, była pełna fioletowych żyłek. Miałem wrażenie, iż zmiany fizyczne były w nim mniejsze, niż w ubiorze. Mówiono mi, że mu się źle powodzi.

Wkrótce znaleźliśmy się na Piotrkowskiej — w tym głównym kanale łódzkim — wymijani przez ostatnich przechodniów, których chłód i poczucie obowiązku wypędzali z ulicy. Łódź wcześniej idzie spać i wcześniej wstaje, — Łódź porządnie pracuje i zasługuje na same pochwały. Ale pisarze i artyści, którzy ściągali tu w przekonaniu, że potrafią zainteresować miasto sobą i tym co robią, pewnego dnia musieli sobie powiedzieć, że przegrali. Łódź była i pozostała tylko miastem fabrycznym. Ławiej miasto zniszczyć, niż je zmienić. Tak jak człowieka.

Rozmawialiśmy chaotycznie o wielu sprawach naraz. Kraciasta, kusa marynarczyzna i jaskrawe zbyt cienkie spodnie były unrowskiego pochodzenia. Mit bogatych Lewickich dogasał we mnie teraz na Piotrkowskiej gruntownie, niż gdybym patrzył na ruiny ulicy Wielkiej. Jeszcze była w nim krew, skoro czulem, że zamiera, a przecież na zjawiska o ileż donioślejsze patrzyłem oczami tak obojętnymi jak głodny na wystawę guzików. Dla dramatycznych szczegółów, ongi na wagę złota, nie miałem uszu. Wyszliśmy z tej wojny mniej ciekawo świata i mniej ludzcy.

Spytałem go czemu nie pisze, czy to prawda co mówią, że natrafia na takie opory.

— Są ludzie — odrzekł — którzy posyłają miliony na śmierć i są ludzie, którzy nie mają odwagi się żenić. Są tacy, co piszą na każdy temat i nie przychodzi im na myśl, że mogą się na czymś nie znać. Równoległe do tych żyją inni, których słowo leży jak gdyby na dnie przepaści. Za każdym razem sięgając po nie, to jakby ska-

## S P I R

Mieczysławowi Jastrunowi

kali w przepaść. Dostają ataku drżączki przed każdym nowym wierszem. Napiszą dwa zdania, a wyrzucą trzy. Godziny ich pracy są godzinami niszczenia. Zdanie początkowe wsadzą na koniec, końcowe na początek. W godzinę później przywrócą dawny porządek. I to jest plon dnia — dwa przestawione zdania. Nazajutrz przekreślą oba. Przez cały następny tydzień będą chorzy.

W tym właśnie duchu opowiadano mi o nim. Pierwszy raz słyszałem go mówiącego więcej niż kilka słów. Przypomniałem sobie, iż zawsze panowało przekonanie, że mówi świetnie. Gdy przyjechał do stolicy — jakie ćwierć wieku temu — koledzy odrywali zapite oczy i słuchali co mówi nowa gwiazda, nowa baletnica, nowe ciało, owiane zapachem parku N-owskiego. Żeromski po paru rozmowach stwierdził, że Lewicki ma wszystko w głowie, ale nie w brzuchu. Irzykowski był przeciwnego zdania: wszystko w brzuchu, nie w głowie. Balzak powiada gdzieś, że po Paryżu kręci się 30 tysięcy młodzińców mówiących genialnie o literaturze (i dodaje: z których nie ma wyrośniętych). Warszawa nawet w swych najlepszych czasach nie miała 30 tysięcy mówiących genialnie o literaturze. Dobra rozmowa zawodowa trafia się u nas rzadko. W ciągu paru zetknięć ze mną Lewicki był jak krowa. Nie mówił, lecz myślał.

— Nagle wszyscy spostrzegli, że nie piszę. Opowiadają niestworzone historie na temat moich dziwactw (nie wiedzą nawet jakie, ignorancją w tych sprawach, sami sobie wystawiają świadectwo). Żyję z tą moją chorobą od lat, a wszyscy spostrzegli ją w momencie, gdy mi się już prawie pogodził. To przecież widać...

Odgiął brzeg marynarki jak gdyby się nią swiadczył. Wziął mnie pod rękę.

— Przecież jesteśmy ziomkami! Przecież jesteśmy ziomkami! Nie miałem pojęcia o tym w Warszawie. Pan zawsze bardzo mi się podobał, ale miał pan minę tak odpychającą... Byłem nawet zazdrosny o pana...

— Jakto! — aż przystanąłem. Musiał zauważyć moje zdumienie, ale napewno nie miał do niego klucza, jak do dziewięciu dziesiątych tego co mówią drudzy. Nie wytłumaczyłem mu niczego, wszystko było tak odległe, zaspane. Już sił nie ma na to ciągle odgrzebywanie.

— Dopiero niedawno w Krakowie dowiedziałem się, że pochodzimy z jednego miasta. Byłem niedawno w naszym ongi ruchliwym mieście N, które jest teraz cichą wymarłą wieściną. Chodziłem godzinami i nie spotkałem ani jednej znajomej twarzy. Ruiny i obcość...

Zatrzymał się i przyłożywszy rękę do serca:

— Proszę pana! Jak oni tam ginęli! Jak oni tam ginęli!! Pytałem o ojca. Odpowiedziano mi, że poszedł do pieca. Pytałem o znajomych, pytałem o adwokata Holendra. Odpowiedziano mi, że poszedł do pieca razem z całą rodziną. O kogokolwiek zapytać, odpowiedź ta sama. Do pieca.

Po chwili:

— Nie ma ludzi, nie ma miasta, ostatni ich ślad zachował się w pamięci i codziennie trzeba patrzeć jak ten ślad się zaciera. Ta bezsilność! Ten nie kończący się ucisk sumienia! Budzisz się wśród nocy, otaczają cię zmarli, żywi dla ciebie, niż ci co chodzą po ulicy, otacza cię miasto, którego już nie ma, na chwilę rozgrzewa cię słońce z najwęższej młodości, jakiego już nie ma. Podbiegasz do okna, wyglądasz na ulicę nie swoją, na miasto nie twoje — wszystko prócz ciebie, pogrążone we śnie. Krążysz po pokoju, ale nie podchodzisz do miejsca gdzie leży papier. Ubywa życia, odchodzą siły. I nic... Nikt nie zna naszej rozpacz, choć każdy zna naszą zarozumiałość.

Myśl moja pofrunęła wstecz. Jak zwykle w życiu wiedziałem o nim więcej, niż mógł przypuszczać. Chodząc po parku w N. patrząc w twarz księżycowi żółtemu jak chała i słuchając rzewnego śpiewu młodych dziewcząt układających łezami w oczach swe pierwsze wiersze dla Irki Holendrówny, córki adwokata z Bernardyńskiej. Była to jedyna miłość jego życia. Na nieszczęście przeczytał kiedyś u Tolstoja, że człowiek, który chce czegoś dokonać nie powinien się żenić. Między sztuką a miłością wybrał sztukę. W Warszawie było coś, ale bez ognia, żył latami samotnie. Przesiadywał w lokalach do tej godziny, która już nie jest nocą, a jeszcze nie dniem. Wychodził rozgrzany rozmowami i alkoholem, które dla niejednych zacierały różnice płci, pożerany pragnieniem miłości, które przez niego aż kwiliło. Błąkał się po ulicy, wśród jej niejadalnych dlań dobrodziejstw i po raz setny zadawał sobie to pytanie: Czy wybrał właściwie? Odszedł od ludzi, któ-

rych kochał, poto by mówić o nich. Nie mówił o nich. Cała rodzina Holendrów poszła do pieca — jeszcze dzisiaj nie miał odwagi wymienić jej imienia. Skoro odszedł kiedyś po to by wypowiedzieć ukochaną, jej nieludzka śmierć jakże musiała wzmoczyć jego poczucie obowiązku!

— Słyszysz mi pan?

— Zdaje mi się, że słyszę — odparłem tak, aby nie dać mu odczuć granicy mego zrozumienia.

Czułem, że zabolala go moja odpowiedź. Nie urwał przecież rozmowy:

— Sprawiedliwość jest fikcją naszej myśli. Sztuka jak natura nie ulega jej. Tylko rzadko kiedy uchyla ona drzwi, za którymi czekają na nią. Nie kwituje się na tym świecie...

Byliśmy sami na tym odcinku Piotrkowskiej. Na chodniku widniały plamy po niedawnym deszczu. Z bocznego ulic dochodził ścieg automatu. Panował chłód. Znów poczułem jego rękę, którą przedtem był za brał. Rzeka!

— Gdy spoglądam wstecz, wydaje mi się, że moją największą wadą było to, że nie umiałem być skromny. Moje szczęście pisarskie trwało póty, póki nie zacząłem sobie zadawać pytania, dlaczego tak a nie inaczej. Póki nie zacząłem zdobywać recept, które przynosiły mi chwile uniesienia i nadziei na początku, a miesiące wątpliwości potem. Moje recepty były wymyślniejsze niż kawały Cynjana, nieśmiertelnego sprzedawcy kolumny Zygmunta i tramwajów warszawskich. Moja droga wiodła od usprawiedliwienia błędów gramatycznych do nieuznawania żadnego słowa, nie zanotowanego przez gramatyków. Bogactwo literatury już napisanej stwarza iluzję, iż każdy może robić swoje w tysiącny sposób. Nieprawda. Korzystając z bogactwa form można je tylko powtórzyć. Będąc czułym, słyszy się od razu kogo się powtarza. Nie chciałem nikogo powtarzać. Szukałem własnej złotej żyły. Gdy się zorientowałem, że złotej żyły nie znajduję, próbowałem znaleźć choćby własny deseń. I też napróżno. Nie znalazłem. I nie ma mnie.

— Jakto pan — przerwałem mu — pan który...

— Ja, który...  
Spojrzał na mnie jak ktoś, kto prosi, żeby dać spokój, że chwila nie jest odpowiednia. Ponieważ jednak wiem czym jest pochwała dla uszu, które ją nie często otrzymują, nie cofnąłem się i wymieniałem kilka tytułów. Dodałem, że ma widocznie zły dzień i że przesadza w negacji.

Zawahał się istotnie, jak gdyby chciał swój sąd poddać rewizji, ale ja nie byłem szczery. Czytałem niedawno jego książki, było ich niewiele, trochę wierszy i opowiadań, jedna powieść. Nareszcie czytałem je okiem pozbawionym zawiści i gniewu, okiem bezinteresownym, nie danym nam wtedy, gdy się książka ukazuje. Dopiero teraz widziałem, jak w gruncie rzeczy od samego początku Maciej Lewicki należał do gatunku kulturalnego, antybarbarzyńskiego, taktownego, choć kiedyś uważano inaczej. Gatunek ten wymiera szybko jak cięte kwiaty. Szukałem subtelności w książkach późniejszych, mówiono iż z barbarzyńcy Maciej Lewicki przeistoczył się w autora subtelnego. Ale i subtelności nie odnalazłem. Była, nie do odszyfrowania, jak finta polityczna, jak pewne przejawy w sztuce kostiumowej. Każda generacja toczy jakąś swoją dyskusję. Są pisarze, którzy potrafią dyskusię tę połączyć z kapryśnymi, wielorakimi i zawsze tajemniczymi wymaganiami sztuki. Są inni, którzy toną w tychże dyskusjach, zapominając o sztuce, choć nie zapominają wolać, iż to jej przede wszystkim służą. Są inni znów, którzy odwracają się od zagadnień wieku, zapatrzeni w kanony sztuki — w dług niech — niewzruszone, niezmiennie, wieczne. Nie wiem do którego rodzaju trzeba dołączyć aby być wygranym. Maciej Lewicki dołączył w każdym okresie do innego rodzaju, ale nie wygrał. Pozostawił książki nieme. Jeśli dla mnie nie były one nieme całkowicie, to ze względu na osobistych. Ale czując chwytliwość tych macek dla siebie, czułem zarazem ich niechwytliwość dla innych. Wygląda na to, że się oddalamy od książek Macieja Lewickiego, że się już chyba nikt nigdy nad nimi nie zamyślił, nie spulchni lżą postaci wyszarpaniętych z głębi w męce — już nigdy nie policzonej.

Machnął przecież ręką — nie miał złudzeń:

— Sztuka okrywała mnie zawsze jak przykrótka płaszcz. Wiecznie coś mi przeszkadzało. Już dzisiaj młodzi pytają kto to? (Młodzi nie odróżniają przystą Wierzyńskiego od Asnyka i pomyśleć ile ton papieru wypisano niedawno o Wierzyńskim). Wkrótce stanę się jednym ze starców, o których coraz mniej będzie wiadomo. Jednym ze staruszków zalegających

kasy literackie, o chorobliwym apetycie, z obwiązany pasami brzuchem, w staromodnych podartych butach. Jeszcze jeden cichy nie wyeksponowany Szekspir. W nekrologach „Kuriera Warszawskiego” i „Tygodnika Ilustrowanego” czytaliśmy niedawno: zmarł X. Y. — pisarz. Jaki pisarz? Pisarzem był może Żeromski, ale co miał wspólnego z literaturą X. Y.? W tym wielkim biegu maratońskim procent zawodników, który odpada jest olbrzymi i nikt nawet nie wie, że startowali... I nie ma na to rady. Ból jak żelazna czapka uciska głowę, której nie służy. Od czasu do czasu jedna z tych osób, o których społeczeństwo sądzi, że doszła, choć jej twórczość od samego początku cuchnęła trupem, choć nie ma w niej ani jednego własnego zdania, choć od samego początku była i pozostała odgrzewaną kaszą, jedna z tych osób w przystępie szczerości szepnie panu kiedyś na ucho: — Maciej Lewicki? Nie da pan wiary, w młodości uważałem go za swego jedynego konkurenta. Łączono z nim wielkie nadzieje...

Przyjrzałem mu się w świetle kwiaciarni, pod którą stanęliśmy. Był okropnie łysy. Pojedyncze włosy leżały na jego głowie jak luki mostu nad wodą. Twarz jego była usypiana śnieżnymi igielkami odrastającej brody. W N. był dla mnie bez wieku jak kamień. W Warszawie moja nienawiść również pozostawała go bez wieku. Teraz gdy padły między nami pierwsze akcenty ludzkie stwierdziłem, że już był stary.

— Pamięta pan mojego ojca? — W młodości pisywał piękne listy miłosne do matki... — Powiedział kiedyś do mnie. Jeśli spojrzysz wstecz i zobaczysz, że życie przeciekło ci między palcami, nie czyni sobie wyrzutów, żeś nie dość silnie chciał. Powiedz sobie: nie umiałem. Ludzie nie rozumieją co te dwa słowa znaczą. Anioł w młodości z szumem przeleciał nade mną, ale nie dotknął mnie...

Przystanął i zamilkł. Pomilczał może minutę i szepnął:

— Przegrałem...

Bez podniesienia głosu, z ufnymi oczami dodał:

— Ale pan, pan pozostał na placu. Wierzę w pana...

Przez chwilę zdawało mi się, że kpi, jak ongi. Ale nie, nie kpił. Zabrakło mu nagle tehu. Ręką wskazał na serce, był daleki od ironii. Słowa, które kiedyś uszcześliwiły by mnie, przeszły nie zarywszy się głębiej.

Zamyśliłem się. Czy Maciej Lewicki mówił tylko o swoich obowiązkach? Czy N. nie było również i moim miejscem rodzinnym? Serce zabiło we mnie żywiej gdy wspomniał wymarłą wieścinę N. ongi tak ruchliwą. Czy tylko jego bliscy wyginęli w sposób tak nieludzki? Pochodzę od pieców krematoryjnych towarzyszyły i moje śluby. Przecież, ja także obiecywałem sobie tak krzyżować, tak krzyżować o ich śmierci!... A oto codziennie obijałem się o wąskie ściany mych możliwości jak o kraty więzienne. Byłem jak niemy. Niemy i głuchy. Jak długo trwała rzeź, mówiłem sobie: akcent sztuki musi być uzgodniony z historią. Mówiłem sobie: nigdy więcej tych spotęgowanych głupstw, jak dotąd. Sztuka? Tak, ale współbrzmienia z wielką historią. Coś co pochłonęło miliony istnień, wypunktowało inaczej niż zieloną flaszkę, gitarę i dwa jabłka na niebieskim obrusie. Sztuka płynąca na wielkiej fali, nie bliski na wodzie. Po roku pokoju widziałem oto iż sztuka stała się akurat taka jaka była od tysiąca lat: samowolna, dzika, kapryśna, kładąca akcenty tam gdzie się jej podobą, na drobiazgach, na głupstwach, pisząc sobie swoją historię. I widziałem już, że nie ma właściwie na to rady. Stygła pamięć o okropieństwach, świat znów domagał się piękna...

Gdy Maciej Lewicki przedtem powiedział, że i on miał swoje dobre chwile, zdradzałem. Byłem głęboko przekonany, że również ja moje dobre chwile mam już poza sobą. Byłem zdania, że należą do tych pisarzy, których wrażliwość zabija, bo jest to wrażliwość bez siły, sama pajęczynka, sama koronka, nie kompaktne, nie z ziemi, a bez ziemi nawet kartofel się nie urodzi. Biała wrażliwość bez siły. Kornel P. pisał o mnie: Jakub Z. w Starym Żabińskim miał odwagę siebie. Teraz stwierdzam, że nie ma już tej odwagi. Pokazuje nam jakieś drobniaki. Daje nam arcydzieła na dwadzieścia wierszy. Idzie na styl. Ten styl go zabije, gdyż Jakub Z. nie należy do ludzi stylu. Z. powinien nam pokazać kłęby uczuć i zdarzeń, kłęby zagadnień. Z. wydaje się, że muszą one przedtem być wyrzeźbione, wychuchane. Rezultat jest ten, że nie krwi, nie mięsa nie zostaje. Jakub Z. zabawia się w przestawianie mebli, jak ubogie kobiety, których nie stać na kupno nowych. Z. po-

szedł więc na styl. Słońce przestanie dla niego świecić. Nie rozgrzeje się już nigdy. Z. chce coś innego niż umie. Marzy o dziele skończonym. Szaleństwo! Szaleństwo! — powiadam. Trzeba zawsze chcieć cokolwiek mniej niż się umie, niż się może. Dzieło jak ciasto samo rośnie. Niech Jakub Z. się zapyta, ile drożdży do ciasta bierze mądra gospodyni. Jakub Z. pcha same drożdże. Straciliśmy pisarza, pisarz stracił siebie...

Droga w dół już się dla mnie zaczęła. Trudności rosnące z dnia na dzień nie zachęcały do wysiłku. Mój stop układał się tak, iż wywoływał we mnie rozpacz. Budziłem się codziennie rano pod olśnieniem nowych odkryć, które już wieczorem przestały być odkryciami. Były krótkie jak ogonki u jablek.

Dziś wieczór, gdy niebo za oknem mego pokoju zgranatowało i zbliżyło się, jak zwykle o zmierzchu, zapaliłem lampę na stole pełnym papierów, przygotowanych do czynności, którą tylko z pewnym wstydem pisarz nazywa pracą, bo jest czymś mniej i czymś daleko więcej zarazem. Przez wiele miesięcy letnich nie paliłem światła na biurku. Złoto lampy zlagodziło mrok i w ten pierwszy jesienny wieczór — który nabrał głębi całą drżączkę życia powojennego ścięła nagła stabilizacja. Jak prawdziwe życie miało już życie powojenne swoją historię. Przeszło rok patrzyłem na ten sam komin fabryczny, na ceglany mur, na zielony dach garażu, na kasztany w Alei Kościuszki. Naraz złoto wnętrza zaślaniało czymś niebezpiecznym jak nóż w jedwabiu. Ten pierwszy jesienny wieczór, położony u końca dłuższego okresu bezwojennego żądał obrachunku, ale ja byłem niewyplacalny.

Byłem niewyplacalny, ale nie byłem samotny. Wyplacalność moja była mniej więcej na poziomie całej mojej generacji, tej samej, która przed laty obiecywała sobie zadziwić świat, o której literatura miała się zacząć naprawdę. Lata olśniewającego startu tkwiły mi dobrze w pamięci, gdy codziennie patrzyłem na kolegów, którzy pod względem nędzy twórczej i powagi społecznej byli już dobrze zaawansowani, byli już całkiem podobni do tych z którymi porównanie uważała niedgys za obelgę. Część była przerażona tą jawną kłeską. Inni, coż, byli głodni, byli poważani...

Świat nie układał się według dziecinnych marzeń z Ogrodu Strzeleckiego w N. ani według marzeń młodzińszych. Trudności były inne, większe.

Uśmiech zakwitł mu na twarzy: — Rano gdy obudziłem się, uświadomiłem sobie nagle, że to przecież dzisiaj, dzisiaj właśnie mija dwadzieścia pięć lat od wydania mojej pierwszej książki. Obchodzę więc dzisiaj jubileusz... Piękna chwila. Tylko, że ongi myślało się, że będzie inaczej, że z całego świata może nie tylko ja jeden będę ją święcił. Każdy wie jak zaczyna, nikt nie wie jak skończy.

Przyglądał mi się, jakby na coś czekał. Wreszcie wyciągnął rękę z rażąco jasnych i jakby zbyt cienkich spodni:

— Skoro już to panu powiedziałem, niech pan, pan jeden przynajmniej powinszujecie mi...

Patrzyłem na jego małą a tak ludzką twarz, siną od chłodu, białą od igiel odrastającej brody i serce ścisnęło się we mnie. Poczułem się bliski temu stworzeniu tak bardzo ludzkiemu, a tak niezaradnemu. Miałem na ustach wyznanie o tym, czym był dla mnie od najwcześniejszych lat. Chciałem mu i to powiedzieć, że wierzę w niego, że jeszcze się weźmie w garść, że jeszcze i dla niego słońce zaświeci. Chciałem mu powiedzieć, że gdyby nawet nie dorzucił do tego, co dał, gdyby nawet pozostał takim, jakim go widzę, to jest i będzie mi zawsze tysiąc razy droższy, od tych, którzy budują swe domy z cudzych cegieł, którzy układają swe tandetne kupy, którzy odgrzewają kaszę. Chciałem go objąć i ucałować — za wszystko. Stałem przed nim nie ważąc się mu spojrzeć w oczy, nie wiedząc co począć z rękami, topniejąc w sobie. Naraz w świetle latarni wzrok mój padł na tustą plamę na jego rażąco jasnych spodniach. To przeważało. Nie mogłem się przezwyciężyć.

Gdy moje niezdecydowanie przeciągnęło się, Maciej Lewicki nieświadom jego pobudek zapytał z ironicznym wyrzutem:

— No, co? Nie powinszujecie mi pan jubileuszu? Nawet pan... Oto stróż nadchodzi...

Wtedy jak idiota, jak najgorszy, wzbuchnąłem:

— Winszuję, winszuję...

I aby mu już było całkiem gorzko, obywał dozorca pośpieszył się z otwarciem bramy i nie zdążyłem nawet porządnie uściśnąć ręki mojemu tak bardzo doświadczonemu Szekspirowi.

Adolf Rudnicki.

ALEKSANDER PUSZKIN

## EUGENIUSZ ONIEGIN

(FRAGMENT)

XXVI.

Leński, oparty od niechęci  
O tamę, niecierpliwie czeka.  
Zarecki żarna zaś ocenia.  
(Wiejski mechanik z tego czeka!)  
Idzie Oniegin z tłumaczeniem.  
— „Lecz cóż jest? — szemrał

ze zdziwieniem

Zarecki — „z pańskim sekundantem?”  
Klasykiem bowiem był, pedantem,  
Metodę cześć, jak mąż nauki.  
Rozciągnął gości, by legł w grobie  
Pozwalał, jeno nie tak sobie,  
Lecz w myśl surowych reguł sztuki.  
Jak chce tradycji prawo stałe  
(Co zasługuje na pochwałę).

XXVII.

— „Sekundant?” — sporom kładzie kres tu  
Przybysz; — „monsieur Guillot” —  
(Ruch z gracją)  
— „Nie przewiduję wszak protestu” —  
Rzekł — „w związku z moją rekomendacją:  
Nieznany człowiek, ale — wierzę —  
Począwszy mały, druh mój, wreszcie...”  
Zarecki wagi zagryzł. Zmierza  
Oniegin wzrost do Włodzimierza:  
— „Cóż, zacząć?” — „Owszem” — W drodze  
swoją  
Ruszyli za młyn. Przez czas cały,  
Gdy mistrz i nasz „począwszy mały”  
Warunki uzgadniali boju,  
By nie przeczyć nic w umowie, —  
Wzrok wdół spuściwszy, tkwią wrogowie.

XXVIII.

Wrogowie! Przyjaźni ich jak dawno  
Krwą żądza zmłotła jakby pyłek?  
Dawnoż wywczas, myśl zabawna,  
Idee, czyny i posilek  
W przyjaźni podzielałi drogiej?

A teraz jak dziedziczne wrogi, —  
W śnie niepojętym, rzekłbyś pewnie, —  
Jeden drugiemu skrycie, gniewnie  
Już z zimną krwią gotują koniec...  
Czyż nie zaśmieją się ich oczy,  
Nim ręka krwią się ciepłą zbroczy?  
Nie pójdą stąd, nim śmierci goniec  
Przyjdzie?... Niestety, w parze idą:  
Gniew i głos fałszywego wstydu.

XXIX.

Zagrało światło w lufy błysku,  
Młotek o stempel głucho brzęknął.  
Zniknęły kule w swym łożysku,  
I kurek odwiedziony szczerknął.  
Już na panewkę popod kurkiem  
Proch szary spływa wońno, ciurkiem.  
Iskry z krzemienia chce panewka...  
Guillot, zmieszany, za pniem drzewka  
Stanął. Wrogowie dwaj, w milczeniu,  
Zrzucają płaszcze swe bez zwłoki.  
Trzydzięści dwa odmierzył kroki  
Zarecki, ściśle i w skupieniu.  
Wskazał dwóm druhom stanowiska.  
Każdy pistolet w dłoni ścisła.

XXX.

— „Teraz się schodźcie.” —  
Z wzrokiem hardym,  
Sztyni, jak w czyichś rękach stery,  
Krokiem mlarewym, równym, twardym  
Zrobili naprzód kroki cztery,  
Cztery ku śmierci prosto stopnie.  
Pistolet (zimny był okropnie!)  
Oniegin, jak w tragicznej roli,  
Pierwszy podnosił ją powoli.  
Jeszcze pięć kroków wprzód podesził.  
Leński celował ją zawzięcie,  
Zmrużywszy oko. W tym momencie  
Oniegin nagle strzelił... Wiesz-li,  
Że zegar twą godzinę dzwoni?  
Wypadła broń pocie z dłoni.

XXXI.

Na piersi kładzie zwolna rękę  
I pada. To zamglenie wzroku  
Śmierć wyobraża, lecz nie mękę.  
Tak, sunąc zwolna po gór stoku  
I skrząc się w słońcu, biała, czysta  
Lawina spada w dół śnieżysta.  
Oniegin, zimnym zdjęty dreszczem,  
Przypadł do chłopca, woła jeszcze,  
Patrzy mu w oczy... Lecz daremnie:  
Już nie ma go. Młodego barda  
Przedwcześnie ścięła reka twarda!  
Kwiat piękny burzy technienie zemnie,  
Zwiednie o świecie przez moc wraży,  
Wygasił już ogień na ołtarzu!

XXXII.

Leżał już martwy, twarz w bezruchu...  
Dziwił w niej spokój, wkrąg rozlany.  
Nawskroś przesyta miał pierś krucha,  
Dymila krew ciekająca z ranu.  
Przed chwilą serce to nadzieją  
Błło, natchnionych snów zawieją,  
Miłością, nienawiścią drgało.  
Krew w nim kipiła, życie wrażało!  
Teraz — jak w pustej kamienicy —  
Ciemność i spokój wielkiej ciszy.  
Zamilkło, nikt go nie usłyszy.  
Wapno na szybach, okiennice...  
Gdzież gospodyn? Gdzie się chroń?  
Bóg wie. I ślad zaginał po niej..

XXXIII.

Przyjemnie jest zuchwałą fraszką  
Rozwścieczyć niezręcznego wroga.  
Przyjemną niemniej jest igraszka  
Widzieć, jak ten — łeb chyląc w rogach, —  
W lustro niechęcący patrzy skrycie,  
Wstydząc się poznać swe odbicie.

A już przyjemnie będzie zgoła,  
Gdy on: „to ja!” — jak kłep zawoła.  
Jeszcze przyjemniej jest w milczeniu.  
Pogrzeb szykując mu dostojny,  
Z flegmą w łeb mierzyć niespokojny,  
W dość przyzwoitym oddaleniu.  
Ale — do przodków go odprawić —  
Ledwie to zdoła cię zabawić!

XXXIV.

A cóż dopiero, gdy z twej bronii  
Kula w twym utkwi przyjacielu,  
Który półstówkiem, czy ironii  
Śmiechem, czy inną bagatelą  
Ubliżył tobie przy butelce,  
Albo też sam, dotknięty wielce,  
Dumnie cię wyzwał. Jak poruszy  
Cię widok taki, co w twej duszy  
Zadrga, co w niej się wte dy dzieje! —  
Gdy martwy już, z wygasłym tętmem,  
Leży przed tobą, z śmierci piętnem  
Na bladym czole, i kostnieje?  
Gdy milczy, bezłitośnie głuchy  
Na krzyk twój i rozpaczne ruchy?

XXXV.

Ból w sercu gryzie, dreoczy, gnie go,  
I broń w skurzonej dłoni gorze.  
Patrzy Oniegin na Leńskiego.  
— „No cóż? zabity” — sąsiad orzekł.  
Zabity!... o! to straszne słowo...  
Oniegin, z opuszczoną głową,  
Odchodzi drżący, woła ludzi.  
Zarecki już się ciałem trudzi.  
Ozłębte zwłoki więc na sanie  
Kładzie, by powieźć skarb straszliwy.  
Poczuwszy trupa, konie grzywy  
Zjeżyły, szarpnął się i w pianie  
Gryzą wędzida swe ze stałi.  
Wnet lotem strzały w dal pognali.

przełożył Władysław Jerzy Kasłowski

ZYGMUNT PIÓRO

## OSOBOWOŚĆ I SPOŁECZEŃSTWO \*)

Francuski katolicyzm postępowy, który reprezentują tacy pisarze, myśliciele i filozofowie, jak Chaudel, Mauriac, Maritain, Mounier, Bernanos — jest to katolicyzm głęboko przekonany o swojej prawdzie, najzupełniej zgodny z dogmatami kościoła, a zarazem nowoczesny, nie „zdevaluowany” w swej wartości i znaczeniu przez zmiany, które zaszły w życiu społecznym. Postępowi katolicy chcą być najprawdziwszymi Francuzami, a najprawdziwszymi Francuz — to rewolucjonista. Stąd postępowi katolicyka usiłuje godzić, łączyć w jeden system myślowy postulat kształtującej się nowej rzeczywistości z zasadniczymi dogmatami swej wiary.

Tworzenie zamkniętego, skończonego systemu myślowego, z którego usuwa się mniej lub więcej rzeczy, jakieś elementy niejasny, w którym nie ma rzeczy niepewnych, w którym odwieczne zagadki ludzkości odgaduje się wiarą i usilnym pragnieniem pewności, charakterystyczne wszelką myśl teologiczną w odróżnieniu od laickiej myśli naukowej. Przed iloma zagadkami stoi dzisiejszy badacz naukowy? Jak niepewne, nieśmiałe, zaopatrzone iloma zastrzeżeniami są stwierdzenia sumiennych laickich myślicieli?

Maritain — katolik, związany z pewnym dogmatycznym systemem myślowym, chce jak najlepiej dla człowieka; chce maximum wolności społecznej i religijnej, widzi zjawiający się nowy układ wartości społecznych, gdzie człowiek każdy ma prawo pełnego rozwoju osobowego. O słuszności jego postulatów nie wątpimy, ale wiemy te rzeczy skądinąd. Jego argumentacja, zgoda nie trafia do umysłu dalekiego od spekulacji metafizycznych.

Zupełnie rozumimy konieczność konstruowania „filozofii politycznej, słusznej i dobranej uzasadnionej” w czasach decydujących o kierunku rozwoju cywilizacji. Gotowi jesteśmy nawet uwolnić owego skrupulatnego badacza od poczucia niedoskonałości, by dawał gotowe wzory rozwiązań spraw nagłych. Z czasem by zmienimy, lepszymy. Ale jakżeż to jest dalekie od owej pewności Maritain'a, który dla swoich życiowych rozwiązań XX wieku znajduje argumenty w dziełach Tomasza z Akwinu lub w przekonaniu o ponadczasowej wartości duszy ludzkiej. Zdziwiająca jest ta pewność i swoboda myśliciela-katolika, z jaką się porusza w zakresie spraw najbardziej wątpliwych, niezmiernie zawyżonych tak ostrożnie traktowanych przez naukowców-specjalistów: spraw, dotyczących społeczeństwa i człowieka, osobowości i natury ludzkiej.

„Osobowość człowieka jest wielkim misterium”, które rozgrywa się w każdym z nas. Człowiek jest osobą wolną, pełną godności i praw, jest indywidualum, utrzymującym się przez inteligencję i wolę. Człowiek istnieje

nie tylko fizycznie, jest w nim egzystencja bogatsza i wyższa, egzystencja duchowa, objawiająca się w poznaniu i miłości. Wyraża się to u Maritain'a w terminach filozoficznych: „w ciełe i w kościach człowieka jest dusza, która jest duchem i która więcej jest warta, niż cały wszechświat materialny” (str. 9). Otóż właśnie dusza, która pokonuje czas i śmierć, jest źródłem osobowości. Niejasne pojęcie osobowości tłumaczy Maritain również niejasnym pojęciem duszy. Życie osobowe nazywa „misterium ludzkiej natury”. Wartość „osoby ludzkiej” wynika z tego, że jest ona obrazem Boga, że ma „bezpośredni kontakt z absolutem” (str. 100). Po tym wszystkim Maritain jeszcze dodaje, że te właśnie praktyczne przekonania otrzymania w jego wywodach całkowite racjonalne uzasadnienie.

Niesposób śledzić dalej myśli autora, nie porównawszy powyższych rozważań z refleksjami również racjonalnymi, ale równocześnie nie pozbowionymi elementu empirycznych doświadczeń. Termin „osobowość” jest zbyt zmienny w użyciu, by oddał usługi w naukowych dyskusjach. Należy ograniczać bardzo starannie jego znaczenie dla danego kontekstu rozważań, a nie wkładać w jego zakres znaczeniowy takich dowolnych elementów, z których łatwiej wyprowadzić można wszelkie pożądaną przez jednostkę czy grupę „denywalizację” natury moralnej i społecznej w ogóle. Między różnymi znaczeniami, związanymi z terminem „osobowość” znajdujemy pięć definicji, które wyraźnie różnią się między sobą, zgodnie z filozoficznym, fizjologicznym, psychologicznym, psychiatrycznym i socjologicznym podejściem do osobowości. Jako pojęcie filozoficzne, osobowość może być określona jako podmiotowa świadomość ja w odróżnieniu od innych przedmiotów obserwacji. Jako czysto fizjologiczna koncepcja osobowości może być uważana za jednostkowy ludzki organizm, z podkreśleniem tych aspektów zachowania się, które odróżniają go od innych ludzkich organizmów. Termin ten bywa również używany w psychologii opisowej indywidualnej, w odniesieniu do istoty ludzkiej, rozumianej jako pewna całość fizjologicznych i psychologicznych systemów reakcji. Psychiatryczna definicja osobowości odnosi się do jednostki, wyodrębnionej z aktualnej psychofizycznej całości i pojętej jako stosunkowo stały system reagowania. Najbardziej korzystne socjologiczne znaczenie, jakie może być dane temu terminowi jest zasadniczo symboliczne; mianowicie jest to całość tych aspektów postępowania, która daje znaczenie jednostce w społeczeństwie i odróżnia ją od innych członków społeczności. (Edward Sapir, Encyclopaedia of the Social Sciences, t. XII).

Na wyróżnienie zasługuje koncepcja osobowości kulturalnej Znanieckiego („Ludzie terazniejsi — cywilizacje przyszłości”), który stoi na stanowisku, że psychologia, rozpatrująca

człowieka tylko jako istotę psychiczną, w oderwaniu od systemów kulturowych, w których bierze udział, nie jest w stanie dać pełnego obrazu osobowości. „Całkowita osobowość kulturalna normalnego człowieka, żyjącego od kolebki aż do grobu jako członek grupy kulturowej i uczestnik cywilizacji podporządkowanego jej społeczeństwa jest nader bogata i złożona nawet na poziomie cywilizacji ludowych. Składają się na nią bowiem wszystkie czynności, które ten człowiek spełnia i wszystkie dane, których doświadcza w swym życiu, biorąc istotny udział w systemach kulturalnych, obiektywnie istniejących w danej cywilizacji”.

Usiłowania badaczy osobowości ludzkiej najczęściej szły w kierunku określenia takich elementów osobowości, które „byłyby stosunkowo stałe, lub typologicznie określone na długi okres czasu — na okres życia człowieka. Z tych definicji najbardziej odpowiada temu celowi definicja psychiatryczna. Psychiatryczna nie przeczy, że dziecko, które buntuje się przeciwko swemu ojcu, różni się wybitnie od tej samej jednostki w wieku dojrzałym, które ma skłonności do wyrotowych teorii, lecz stwierdza przede wszystkim, że takie wspólne podłoże reakcji fizycznych i psychicznych można wydzielić z ogólnego postępowania dziecka i dorosłego. Ustala ono niezmienną osobowość przez złożony system pięć korelatów postępowania, takich jak sublimacja, przenoszenie uczuć, racjonalizacja, libido i ego.

Pojęcie psychiatryczne osobowości jest to system reakcji, objawiających przez dziecko w stadium rozwoju prekulturalnym, całkowita konfiguracja tendencji do reagowania, określonych przez dziedziczność i przez prenatalne warunki środowiska, aż do momentu, w którym kulturowe wzory stale zmieniają postępowanie dziecka (Sapir ibidem).

Wobec poważnych naukowych prób rozumienia osobowości, sposób w jaki Maritain wyjaśnia osobowość ludzką pojęciem duszy, która ma „bezpośredni kontakt z absolutem”, paraliżuje dalszy krytyczno-racjonalny tok myśli. Rimbald Young w „Handbook of Social Psychology” wyraźnie stwierdza, że dziecko, rodzące się zwierzęciem, dla osiągnięcia „ludzkiej natury” — osobowości zupełnie nie potrzebuje bezpośredniego kontaktu z absolutem. Wystarczy mu całkowicie kontakt ze środowiskiem społecznym. „The child is not born human or social. He is at the outset an organism belonging to an animal species. It is only through his interplay with his fellows that he gets his „human nature” and that combination of acts and thoughts which we label the person — City”. Taki jest trzeźwy, krytyczny, naukowy, a więc chyba najbliższy rzeczywistości pogląd na prawdziwą istotę człowieka.

Metafizyczne założenie Maritain'a natomiast wyznaczają w dalszym ciągu jego prace spe-

cyficzna pozycje człowieka w społeczeństwie. Społeczeństwo w jego ujęciu jest „całością, złożoną z osób”. Przyznaje, że jednostka dla życia materialnego, intelektualnego i moralnego wynaga z natury swej stosunków z innymi osobami. Ale ponieważ osoba nie jest tylko częścią społeczeństwa, ale całością — osobowością, która ma związek z absolutem, przeto przewyższa wszystkie społeczeństwa ziemskie. „Życie życiem, przekraczającym czas”. „Nie ma nic wyższego ponad duszę ludzką, z wyjątkiem Boga. W obliczu wiecznej wartości i absolutnej godności duszy społeczeństwo jest dla osoby, jest jej porządkowane” (str. 19). Spotykamy się tutaj z usiłowaniami godzenia coraz powszechniej uznawanej prawdy o społecznym rodowodzie człowieka i wszelkich stad wynikających konsekwencji natury moralnej i indywidualistycznej koncepcji człowieka i społeczeństwa, tak charakterystyczna dla chrześcijaństwa, a znajdująca swoje pierwiastki sformułowania w pieśniach proroka Jeremiasza.

Dla ateisty konsekwencje koncepcji otwartej osobowości i uznania potrzeby bogatego wachlarza międzyludzkich stosunków dla osobowego rozwoju jednostki dostatecznie racjonalnie tłumacza potrzebę dostępowania człowieka w zakresie społeczno-kulturalnego doświadczenia. Natomiast człowiek głęboko wierzący i praktykujący w obrazie najpełniejszej osobowości — Boga znajduje źródło zaspokojenia dla wszelkich pragnień osobowych kontaktów. Pustelnik-eremita, milczący zakonnik, nawet dla życia materialnego prawie nie potrzebuje ludzi, a utrzymuje, że jest szczęśliwy i kroczy drogą ku doskonałości. Stąd chrześcijaństwo, po ustaleniu się organizacji kościelnej, w swojej koncepcji społeczeństwa właściwie jednocześnie pojmowane transcendentalne, uniwersalistyczne i indywidualistyczne.

Maritain wyraźnie zwalcza wszelkie pojmowanie stosunku jednostki do społeczeństwa i odwrotnie, społeczeństwa do jednostki, które by prowadziło w swych konsekwencjach do podporządkowania spraw rozwoju osobowości interesom państwa. Ratunek człowieka widzi nie tylko w uspołecznieniu, ale i religijnej wolności. I tu leży zasadniczy problem kulturalny: czy wolność człowieka jest iego uspołecznienie, czy też wolność człowieka osiągalna jest w dogmatycznym zamknięciu myśli i działania katechizmem wyznaniowym.

Wróćmy jeszcze raz do naukowych pojęć osobowości Znanieckiego, Younga i innych. Czynności i myśli jakich człowiek doświadcza w swym życiu, biorąc istotny udział w systemach kulturowych, składają się na treść osobowości. A im treść ta jest bogatsza, tym pełniejsza swoboda dysponowania tym materialem, tym dowolniejsze przyswajanie przez kształcanie i tworzenie treści nowych. Poszerzanie i pogłębianie tych osobowych treści to uspołecznienie, to droga do wolności.

Z. Pióro

\*) Jacques Maritain: „Les droits de l'homme et la loi naturelle”, Paris 1945.



JAN ROJEWSKI

ilustr. Mieczysław Piotrowski

# ALBERT HARRIS BOHATER NASZYCH CZASÓW

Gdyby autor piosenki „O mojej Warszawie” był tylko grafomanem muzyczno-literackim, o takich czy innych personaliach, o bardziej lub mniej sympatycznym rysopisie, niniejszy artykuł byłby grubą przesadą. Albert Harris jest jednak również wcieleniem konkretnych ideałów konkretnej części naszego społeczeństwa. Zgubienie skali zgubiło Harrisa. Nie można przecież, bez narażenia się na śmieszność, powiększać miniatury do rozmiarów pomnika. Pewien Amerykanin chwalił się, że jest posiadaczem największej miniatURY świata. Do bogatej kolekcji amerykańskiej przybył Albert Harris.

Ideal drobnomieszczański w piosence święci u nas triumfy nie od dzisiaj. Był tak mocny, że rozwałił nawet bariery rasowe. Pamiętamy przecież dobrze obrazki z przedwojennych dancinów. Jasnowłosy oficer i właściciel masarni z Marszałkowskiej wlewali szczerze łzy wzruszenia pod dźwięki „Rebeka”... „Że w małym miasteczku za toba ktoś wypłakał z oczu łzy...” pod „Belz”... małeńka miścina gdzie moja rodzina i dom mój był!... W klimacie takich piosenek wyrósł Albert Harris, z czasem stał się ich głównym dostawcą i wykonawcą.

Płaczliwe tony harrisowe nagrywały rozmaite „Odeony”, „Sireny”, „Elektro” i rozpowszechniały w masach drobnomieszczańskiegokołtuństwa. Z wszystkich okien chwycił za serce apatyczny szloch Harrisa: „Sex appel — to wasza broń kobiety... słaba pleć, a jednak jest mocniejsza...”. Harmonizowało to bardzo z „Rena”, uwiedzioną przez szefa, ze „Znachorem”, w którym bohaterka, srodze doświadczona przez los, porzuca się na ostateczność i po heroicznej walce wewnętrznej, uzewnętrzniona przez Waszyńskiego, postanawia... pracować. Pasowało to jak ulał do nieskazitelnego manekina z wystawy Chojackiego, do dam z wityn fryzjerskich, które w dni upalne płakały nawet ciężkimi workowymi łzami, pasowało to przede wszystkim do... fotografii Alberta Harrisa. Drobnomieszczański fotografuje się inaczej. Nigdy po prostu bez pozy. Na fotografii jest takim, jak kim chciałby być, bliższy ideału. Harrisa pamiętam z mikrofonem w dłoni, z lewą ręką na sercu. Na twarzy albo gorzki uśmiech lumpenproletariusa do słów: „I taka chandra się kładzie cholerna”, albo filozoficzna zaduma nad zagadką bytu do przeboju „Bo życie trzeba rwać jak świeże wino” do tanga: „dlatego tylko dwanaście godzin i z inna co dzień nie znudzi się...” — mina udrezonego Casanovy, i wreszcie twarz młodego Wertera do „Ostatniej niedzieli”. Lump z podniesionym kofierzem i opuszczonym rondem kapelusza, namiętny kochanek rwaący życie jak wino, rozpustnik zmęczony miłością i samobójca na tle zawodu miłosnego — oto ideały Harrisa i jego klasy.

Harris nie był podobny do żadnego ze swoich ideałów. Bolał nad tym bardzo. Krótkie kwadratowe nogi na kaczym pługusie, i ogromna kwadratowa głowa robiły wrażenie chodzącego układu Pitagorasa, przy czym kwadrat głowy był naprawde równy sumie kwadratów nóg, wystawionych na przyprostokątnych wiecznym rozpięciem rozporka. Nawet tak zarozumiał się człowiek jak Harris rozumiał więc, że w codziennym, zwykłym życiu nie ma szans na bohatera swoich czasów. Stał marzenie o filmie, którego byłby bohaterem. To marzenie nie opuszczało go nigdy i stało się też w konsekwencji „główną przyczyną dramatu”.

Ale po kolei. Druga imperialistyczna wojna zastała zapewne Harrisa nad dylematem, który z dwu refrainów jest bardziej życiowy: „Mów mi o miłości! Mariou!”, czy: „Lecz proszę ani słowa o miłości, kochaj mnie a o innych sprawach mów!” Raptem wyrwany z drobnomieszczańskiego eldorado, znalazł się w Związku Radzieckim. Tu miał okazję przekonać się, że żaden z obu refrainów nie był życiowy. Nie został Harris wieszczem Związku Radzieckiego, ani nawet Birobidżanu...

Dopiero Związek Patriotów Polskich w Moskwie rozniecił przysgoda gwiazde Harrisa. Natrętny mistrz był podobno równie czynny w hotelu „Moskwa”, jak później w „Polonii”. Słusznie przewidywał, że ZPP to ostatnia dla niego szansa wyjazdu z kraju, gdzie „Harri-

sowie” od dawna przestali wzruszać. Nastąpiło zabawne qui pro quo. Rozwój wypadków w połączeniu z niewyrobieniem artystycznym paru drobnomieszczańskich dostojników, wyniósł „Piosenkę o mojej Warszawie” do rangi hymnu. Kiedy mistrz pisał: „Ja wiem że ty dzisiaj nie taka...” — miał na myśli lokal „Ala Fourchette”, gdzie spożywał indyczkę z borówkami i odległy „Palais de Danse” gdzie wykłwał swoje tanga... Tymczasem nastąpiło powstanie i zburzenie Warszawy. Szmoncesy Harrisa nabrały patosu. Dopiero jednak reformy społeczne pasowały autora słów: „Ja wiem żeś ty dzisiaj nie taka” do roli wieszczka nieśmiertelnego drobnomieszczaństwa.

Radosne spotkanie „Wieszcza” z przedwojenną klientelą nastąpiło w hotelu „Polonia”. „Podziemni działacze” w marynarkach do kolan, płakali jak niegdyś pod dźwięki „Rebeka”. Mistrz promieniał. Szybko zauważył, że do tamtych przedwojennych ideałów jego klasy przybył jeszcze jeden: kult Yankesów. Czym prędzej więc nałożył marynarkę w kratę i aerodynamiczne okulary. Znajomych pozdrowił szerokimi: „Haalo!” i machnięciem podniesionej ręki. Pytał mnie pół serio, pół żartem czy nie jest w tej pozycji podobny do prezydenta Roosevelta, przyjmującego defiladę floty w kanale Panama.

Panama trwała parę miesięcy. Popularność Harrisa rosła. Zdezorientowani cudzoziemcy przyzwyczaili się nie tańczyć przy dźwiękach „Warszawy”, a przedstawiciele mniejszych państw podnosili się nawet z miejsc i stawali na baczność w głębokim skurpieniu. Żeby nie urazić uczuć. Po „hymnie” następowała „Odpowiedź Warszawy” — utwór nieznanego barda na tę samą melodię: „Dziękuję za serce chłopaku, ja wiem, spod naszego tyś znaku...” Przy dźwiękach uroczystego tanga „chłopak spod znaku” przeciskał się przez rozentuzjuszowany tłum i zajmował miejsce przed orkiestra. Płynęły rzewne lkania harrisowe: „Czy dowioję kiedyś siebie pod znajoma kamieniczkę, czy pocuję pod stopami jak nierówny, twardy bruk...” Rzecz osobliwa. Kołtuństwo wychowane na gładkich asfaltach, w wielopiętrowych kamienicach plawiło się jednak rozkosznie w tych mitycznych „Kamieniczkach” Alberta Harrisa. Powierzchni Amerykanie przyjmowali te popularność za dowód wartości, Harris już wtedy udzielał wywiadów. Narzekał na niski poziom poezji polskiej, na jej brak kontaktu z ludem... Prawda, jego twórczość jest inna — przyznawał rozmówcom, — ale jedna jaskółka nie czyni przecież wiosny...

Z czasem wierzył Harris w własną wielkość i w historyczną misję, która miał wypełnić. Któż, jeśli nie on miał uwiecznić bohaterstwo Warszawy, zadokumentować je przed całym światem w monumentalnym filmie „Piosenka o mojej Warszawie”. Któż jeśli nie on mógł zagrać główną rolę warszawskiego powstańca, gotowego „życie poświęcić”?

W głowie Harrisa skrytykował się projekt scenariusza. Zaczął nawet wypuszczać pod adresem Wytwórn Filmowej próbne bariony propozycji, które przekładało jednak szpileczkami dowcipów. Rozjuszony „mistrz” przypisywał ten krzywdzący stosunek do swojej twórczości, niszczycielskiej robocie „rozmałych Minkiewiczów” i gotów był godzinami opowiadać fragmenty swego scenariusza. Żałił się przy tym nie bez racji, że przedwojenni producenci byłiby na pewno skorzyści z przebojowej piosenki i przebojowego bohatera, w przebojowym filmie patriotycznym. Oto pokrótce jego treść:

Warszawa, Rok 1939. W zacisznym dancingu grupka patriotycznej młodzieży. Młody kompozytor, Albert Harris, zajmuje centralne miejsce w grupie. Rozmawia się o nieuchronnej wojnie. Niepokój nurtuje serca. Anielsko piękna Anna ma oczy pełne łez. Kocha Alberta. Wybrała go spośród licznych wielbiących. Stoją właśnie obok Alberta głęboko zadumani. Wczoraj był jeszcze zwycięskim rywalem, w zabiegach o serce Anny, a dzisiaj? Dzisiaj każdy z nich stoi u progu nieznanego: Albert Harris, Roman, syn właściciela dancingu i Gustaw, porucznik lotnictwa. Reka mistrza błądzi po klawiaturze. Pod genialnymi dotknięciami palców zawiązuje się melodia. Twarze rozjaśniają się w serca wstępuje

otucha. Mistrz improwizuje słowa: „Jak uśmiech dziewczyny kochanej...” Anna płacze... Wokół patriotycznej grupy tłoczą się ludzie, podchwytyją melodię i słowa, pieśń potężnieje jak lawina... aż pada zduszona wojenna kanonada. Ale tylko pozornie. Żyje dalej w sercach żołnierzy. Gwiżdże ją Gustaw porucznik lotnictwa przed każdorazowym wylotem z Anglii na kontynent, nuci ją Roman, artylerzysta Pierwszej Armii, forsując Dniepr i Bug... (Roman był koncesją Harrisa w stosunku do nowej rzeczywistości) ...śpiewa ją Albert Harris, nieustraszony partyzant. Anna jest przy nim. Jako siostra miłośniczka jest równie ofiarna jak Albert w boju. W ogniu walk, wśród huków wybuchów, oświetlany łuną mi pożarów, nieustraszonego kompozytor-bohater układa dalsze, nieśmiertelne zwrotki „Warszawy”. Z ta pieśnią na ustach walczą i gina żołnierze Alberta. Pod rytm tego walcza maszerują, jedzą i śpią. Tylko Albert nie śpi. Pierwszy wyrusza w bój, ostatni wraca z pola. To nie że ma obandażowaną głowę, fraszka przestrzelona noga... Często prosi go Anna w bitewnym rozgardiaszu: „Zjedz coś kochanie, jesteś cały dzień na nogach”. — „Ojczyzna ważniejsza!” — odpowiada Albert i dalej walczy.

Nie można bezkarnie prowokować losu. Albert rzuca się z gołymi pięściami na kolumnę tanków. Niszczy wprawdzie wszystkie tanki, lecz siania się raniowy pociskiem armatnim... Wierne ręce towarzyszy podchwytywają go w porę. „Nic to” — rzuca Harris przez zęby zaciśnięte od bólu. Stary wiarus, osiwiały w partyzantce płacze jak małe dziecko. Oczy Anny są suche. Pełni swoją powinność sanitariuszki. Trzeba zapanować nad młodością, nad drżeniem rąk... nie uratują bowiem Alberta Izzy Anny — kochanki, lecz pewne ręce Anny sanitariuszki. Albert spostrzega tę walkę wewnętrzną Anny. Jej drgająca grdyka jest zbyt wymowna. Gestem nieznającym sprzeciwu przerywa jej zabiegi: „Już za późno Anno... umieram... „Rozpacz, z takim wysiłkiem hamowana porwała biedna kobieta. Pada na posłanie umierającego. Wiarusy otoczyły Alberta z ich surowych twarzy widać, że cierpią. Raz po raz potrzaskują głowami jak gdyby mówili: „Co za nieszczęście!” A on... On nie stracił fantazji do końca. Kazał się położyć na wywróconym tanku wroga. Na znieświadzonej swastyce! Promienie zachodzącego słońca okalają jego twarz złotą aureolą. Tuż nad lasem przelatuje samolot. Słychać śpiew lotnika: „Jak uśmiech dziewczyny kochanej...” Albert jest szczęśliwy, nieczego więcej nie pragnie.

Wiosenny poranek. Ku leśnej polanie zdążają trzy osoby: Wysoki lotnik w angielskim mundurze, krepny artylerzysta w rogatywce i kobieta w głębokiej żałobie. Przystają przy skromnej mogile z brzoźowym krzyżem (Sic!) Nad polaną płyną obłoki. Korony drzew kołyszą się na wietrze. Liście szumia, strumyki szmerze, a ptaki też nie przynają. Rytm natury przechodzi w rytm muzyki: „Jak świętóg jaskółek nad ranem... (Jaskółki świętoga). Jak wiosny budzącej się wiew... (wiew)... młodzieńcze uczucia nieznanego... (obaj młodzieńcy spoglądają na Annę łakomym wzrokiem). — Anna czując niestosowność tych spojrzeń nad ciepłą jeszcze mogiłą przyjaciela, przerywa milczenie: „Pochowamy go w Warszawie, to było jego ostatnie życzenie...” Zbliżenie napisu na mogile: „Albert Harris — Artysta i bohater”. Pieśń potężnieje, do słów: „Jam gotów ci życie poświęcić!”

Spojrzałem na Harrisa — miał łzy w oczach: „Jeżeli mi w Polsce odmówią realizacji, jęde do Ameryki...”

Albert Harris wyjechał bogatszy o dwa rozczarowania. Po pierwszym doświadczeniu w Związku Radzieckim, przekonał się, że w Polsce nie jest lepiej. Wprawdzie „naród Polski” — ten z „Polonii” — przywitał go jak wieszca, ale lewica nie szanująca żadnej narodowej świętości, targnęła się także na niego, Alberta Harrisa! — Mógł Albert przeboleć śluby cywilne, mógł ścierpieć reformę rolną, sojusz z Rosją i oszczercza kampanię przeciwko Watykanowi, ale szargać „Piosenkę o mojej Warszawie”! — myśli przedę i uczuć kwiaty?”

Obawiałem się, że przez pewien czas, po wyleździe z Polski, zostanie Harris obrońcą naszej rzeczywistości. Obawiałem się, bo kto wie, czy przy obrotności „Bohatera naszych czasów” i lekkomyślnym poparciu naszych władz, nie podjąłby w końcu Harris legendy Paderewskiego. A to byłoby hańba niezmywalna.

Nie wiem zresztą, czy nie jest za późno. Czy odtąd każdego Polaka, przybijającego do portu nowojorskiego, w misji dyplomatycznej nie będą fetowali Amerykanie za to, że jest rodakiem „wielkiego Harrisa”.

Jan Rojewski



BOLESŁAW DUDZIŃSKI

# Jak pani Firlejowa ze świętymi tańcowała

## albo

### jak Karmelici Jezuitów w kozi róg zapędzili

W notatce recenzyjnej z broszury Adama Ostrowskiego p.t. „Hugo Kollataj” (p. „Kuznica” Nr 30/48) zwróciłem m. in. uwagę na potrzebę przypomnienia dzisiejszemu pokoleniu pism Kollataja, duchowego ojca radykalizmu polskiego. Podkreśliłem też, że niektóre z tych pism kastrowane były bezlistośnie w wydaniach dawniejszych, przy czym usuwano przede wszystkim to, co klerykalizm wojujący mógłby poczytać za obrazę swego wątpliwego majestatu.

Tak się właśnie rzecz miała z wydaną w r. 1905 cenną pracą Kollataja p.t. „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III”, z której powykreślone zostały całe ustępy, dosadnie ilustrujące stosunek kanonika kapituły krakowskiej — ks. Kollataja do ciemnych sił religijnego fanatyzmu i pobożnego wstecznicstwa.

W książce Dra Zdzisława Mierzyńskiego p.t. „Wybrane żywoty ksiąg kościoła polskiego w okresie rozbiorowym” (Kraków, 1937) znajdujemy wśród wielu innych, mało znanych, materiałów historyczno-obyczajowych wyitek ze „Stanu oświecenia”, prawdziwy klejnot saskiej szlachetczyzny, godny sprawy jakiegos nowego Boccaccia. Fragment ten dotyczy zabiegów jezuitów o zagarnięcie mienia bogatej wojewodziny Firlejowej. Użyto w tym celu niezwykle wyrafinowanych i zabawnych zarazem sposobów — znaleźli się przecież tacy madrale, którzy przemysłni i tego już wdrożoną akcję sparaliżowali. Ale oddajmy głos księdzu Kollatajowi:

„Firlejowa była panią całego hrabstwa Tenczyńskiego, mieszkała w Tenczynie, w zamku o trzy mile od Krakowa odległym, w którym znajdowała się kaplica publiczna, obszernie pańskie mieszkanie, zamknięte forteca według zwyczajów owego wieku. Jezuiti opanowali tę słabą duszę: Firlejowa pierwej im oddała swoje sumienie, potem swoje majątki i dochody; odosobniona od całej społeczności żyła tylko ze swoim ojcem duchownym. Jezuitami lub innymi osobami, które on chciał przypuścić: był już od tego wyznaczony Jezuita, który pilnował zwozu przy zamku tenczyńskim; nikomu tam nie było wolno przystąpić, póki nie zdał sprawy dozorczy; wszystkie rzeczy i interesa doczesne załatwiał inny Jezuita, który był komisarzem w dobrach. Firlejowa rozmyślała tylko o rzeczach niebieskich, dziękując Jezuitom, że przyjęli na siebie ciężar zatrudniać się marnościami tego świata; ojciec duchowny utrzymywał ją zawsze w tej nadziei, że prowadząc podobne życie przyjdzie na koniec do tak szczęśliwego stanu, że będzie miała wizję niebieskie i obcowanie ze świętymi”.

„Jakoż w samej rzeczy przyszło do tego, że Firlejowa rozumiała obcować ze Św. Alojzym i ze Św. Stanisławem Kostką; byli to nowicjusze od Św. Macieja, których czasami posyłano do Tenczyna, aby się oni w owy sposób pobożnie objawiali dewotce. Wizje te bardzo się podobaly Firlejowej; święci do takiej przyszli poufałości, że nawet biesiadowali w przytomności wielu; nieraz dała się słyszeć niebieska muzyka, nieraz pobożna Firlejowa tańczyła ze Św. Alojzym lub Św. Stanisławem Kostką; ojciec duchowny do tego stopnia utwierdzał ją w tej wierze, iż pewna była, że te wszystkie niebieskie słodycze były nagrodę jej nabożeństw i oddalenia się od świata”.

„Kiedy przez przeciąg lat wielu Jezuitów korzystał z dochodów Firlejowej, a dewotka z wizji niebieskich, zazdrości szukała sposobu jakby pomieszać tak przyjemne życie, które było owocem jałmużny, postępow i abnegacji świata. Mimo najbaczniejszych Jezuitów dozor rozchodzili się przecież wieści o życiu Firlejowej, żywo pogrzebanej w zamku tenczyńskim; daremnie szemrała familia, daremnie narzekali dawni słudzy, nikt nie mógł przeszkodzić kredytowi Jezuitów; Firlejowa nikogo więcej nie widziała, z nikim się nie wdawała; było to życie niebieskie, na którym świat nie miał się poznać”.

„Jeden przecież laik od Karmelitów bosych medial się oswobodzić Firlejowa mimo jej zezwolenia. Był to sławny kwestarz, umiatacy doskonale sztukę pochlebstwa, za pomocą którego umiał przejść przez most tenczyński pod pozorem jałmużny, czynił wszystkie atencje Jezuitom, który zawiadywał dobrami, a który właśnie miał swój apartament przy bramie zamku tenczyńskiego. Kilka razy opatrzon jałmużną, starał się trafić nareszcie pod taką porę, że mu pozwolono nocować u margrabiego. Dowcipny laik, nie mieszając się w rzady jezuitów, starał się jednak nabyć wiadomości od ludzi służebnych, jaki ich pani prowadzi życia sposób; nie oszczędzał słudzy wszystkim co się działo. Po opowiedzeniu wszystkich pobożnych historii, następowało opisać, jakie sobie Jezuiti i z niej czynia igrzyska; sły historie o wizjach nowicjuszy, o wieczornych biesiadach, czemu wszystkiemu słudzy ulegać musieli, aby nie utracić zyskowego dla siebie na dworze „wiesca”.

„Doniosł o tym wszystkim familii i zwierchności duchownej przebiegły laik. Pierwszy raz dowiedziano się w Krakowie o scenach, które Jezuiti wyrabiali w Tenczynie. Nie można się było wiać do żadnych gwałtownych środków, chodzilo albowiem familii o to, aby bogatej nie rozgniewać dziedziczki, która mogła cały majątek alienować. Laik podjął się przez bazeństwo i trefnictwo Jezuitów z Tenczyna wykurzyć. Wiedział on, którego dnia odbywa się zwykła niebieska w Tenczy-

nie biesiada, kazał sobie zrobić dwa wielkie klucze i one pozłocić; przygotował sobie domino, które by go w stroju oddało podobnym św. Plotrowi, wziął z sobą kursora konsystorskiego na świadectwo, żeby potem Jezuiti nie zaparli wszystkiego, co się działo”.

„Ziechał wedle swego zwyczaju wieczorem i udał się prosto do księdza komisarza, prosząc

wszystkim zabawom. Trwała w późna noc wspaniała kolacja, ku północy dały się słyszeć śpiewania i niebieska muzyka, zaczęły się tańce. Firlejowa poszła w pierwszą parę ze św. Stanisławem Kostką, dalej ojcowie duchowni z pannami JWPani, i niebywała kompania w najlepszym znajdowała się humorze, gdy dało się słyszeć brzęczenie i stukanie

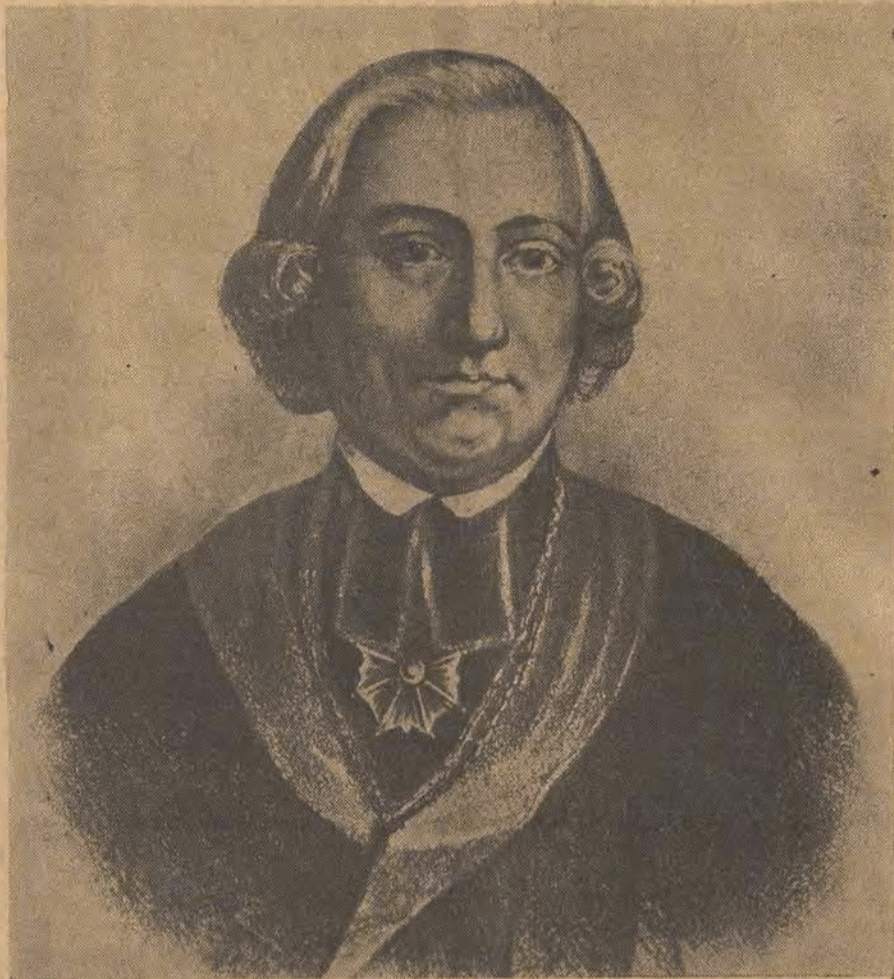
większych bojażni, padli na ziemię. Firlejowa zmieszala się na widok św. Piotra, który dopadłszy do mniemanego św. Stanisława Kostki, okładał go bez litości kluczami, narzekając, że dla jego zabawy nie może nieba tak długo trzymać otworem, aż nareszcie biedny nowicjusz zaczął płakać, wtenczas Karmelita oświadczył mu, że go póty bić będzie, póty się nie przyzna przed tą pobożną duszą, która tak zwoził, kto jest w samej rzeczy”.

„Nie trzeba było nad nowicjuszem pracować, wyznał swoje przewisko, powiedział jak się zowie, zgola odkrył całą scenę z zawstydeniem wszystkich przytomnych jezuitów, którzy przez tyle lat robili sobie igrzysko z pobożnej, lecz słabej duszy. Wtenczas laik karmelicki rzekł do nowicjusza jezuitckiego: kiedy ty przestałeś być św. Stanisławem Kostką, i ja przestanę być św. Piotrem i opowiem wszystko JWPani, kto jestem i dlaczego osobe św. Piotra na siebie przybrałem. Jestem laik karmelicki, dostałem się do tego zamku za kwesta; naszekania służących nauczyły mnie, co za dziwactwa Jezuiti z JWPanią robią; widziałem że nie tylko nadużywają dobroci pańskiej, ale nawet czynią cuda fałszywymi cudami. Już się to za zamkiem daleko rozeszło, że nowicjusze jezuitcy udają świętych pańskich i zwozą JWPanią, z czego się cały świat naszmiewa. Teraz odchodząc zostawiam woli JWPani czynić co się podoba; mnie nie można nic złego zrobić, bo mam za sobą kursora konsystorskiego na świadectwo”.

„Słuchała z cierpliwością tej mowy Firlejowa, spoglądając na zawstydzonych Jezuitów, a obrażona tak długim swego osoby igrzyskiem, tej samej nocy wszystkich Jezuitów do Krakowa odesłała; laik karmelickiego osadzono w apartamencie komisarza, który zastąpił miejsce ojców duchownych. Firlejowa jednak z zamku swego więcej nie wyjeżdżała, ze swymi krewnymi widzieć się nie chciała, przepędziła resztę swego życia z Karmelitami, wystawiła dla nich wspaniały klasztor w lesie na Czernej, opatrzyła go bogatym funduszem i w tym nowym kościele pogrzebać się kazała”.

Oto jaka przepyszna w swej stylowości historia spłynęła spod pióra ks. kanonika Kollataja, jakby żywcem wydartą z dzieł „oświecenia” w Polsce za czasów Augusta III. Na tańce ze świętymi i temu podobne mistyfikacje dzieć oczywiste, nie mogła by już być miejsce, choćby dlatego, że magnackie fortuny Firlejów stały się bezpowrotnie przeszłością historyczną. Nie znaczy to jednak, by nie było i dzisiaj jeszcze niepowolanych „otców duchownych”, którzy ludzkie namiętności „niebieskimi wizjami” — chwila ręką sięgają do ich kieszeni, aby sobie jak najwygodniej urządzić ziemskie życie.

Podał Bolesław Dudziński



X. Hugo Kollataj

o jałmużne i przenocowanie. Naznaczono mu stancje u murgrabiego. Laik napil się dobrego wina dla nabrania śmiałości i dobrego humoru i spokojnie czekał, aż po długich modlitwach Firlejowej zstąpił na ziemię niebiescy goście i zaczęła się w zamku duchowna biesiada, wtenczas przeprowadzony od murgrabiego przypatrywał się z pomniejszego pokoju

drzwiami po odległych pokojach, jakiego nigdy do owego czasu nie słyszano; zbliżał się coraz bardziej głos i stukanie, które swa nadzwyczajnością przysposobiło do bojażni całą kompanię; nareszcie ukazał się św. Piotr, jako go zazwyczaj malują; lisy, w niebieskiej sukni i z wielkimi kluczami. Murgrabia i inni słudzy, którzy do sekertu należeli, chcąc po-

EDWARD SZUSTER

## Poszukiwania w przeszłości \*)

Historia literatury zna dwojakiego rodzaju spaceru w czasie. Napisano wiele dzieł o przeszłości i niejedyn pisarz wybiegał myślą i fantazją w przyszłość tworząc jej mniej lub więcej udaną wizję. Oba kierunki tych myślowych peregrynacji w czwartym wymiarze, mają jedną cechę wspólną. Jest nią dążenie do poszukiwania barw jakich brak teraźniejszości. Jedyne ta potrzeba usprawiedliwia fakt porzucenia swego czasu.

Jest rzeczą oczywistą, iż autor wybiera taką a nie inną epokę dlatego właśnie, że ta a nie inna zawiera frańające go momenty i równie jasnym jest, że każdego autora inne młmnty zainteresują. Na te skąpych źródłach z dzieł polskiego dwunastowiecza, stworzył Iwaszkiewicz głębokie literacko-psychologiczne studium przeszłości. Malewska czerpie materiał do swej pracy z dzieł wieku trzynastego we Francji. Autorka z dużą kulturą wprowadza czytelnika w epokę. Łatwość njmowania przeszłości od strony jej zewnętrznej egzotyki, obca jest Malewskiej. Rekwizyty i akcesoria, właściwe wiekowi trzynastemu, grają w książce rolę znikomą, zjawiając się jedynie w wypadkach koniecznych.

Wiek trzynasty pozostawił we Francji wiele dokumentów i to nie tylko takich, co kamieniami wołają — jak niedokończona katedra w Beauvais. Wiek trzynasty a ściślej okres panowania Ludwika IX w swych najważniejszych zarysach znany jest historykom dobrze. Jest to okres ostatnich krucjat, okres świeckiej potęgi papieństwa, wszystkich z tą potęgą związanych niedomagań, i ich żywej, namiętnej krytyki, okres za-

\*) Hanna Malewska. Kamienie wołać beda. Powieść z XIII wieku. Nakładem drukarni Św. Wojciecha pod zarządem państwowym w Poznaniu.

konów żebraczych już wtedy stopniowo się degenerujących, okres młodej siły mieszczaństwa sprzymierzzonego z młodą siłą króla przeciw samowoli feudalnych baronów. Jest to czas wiary żywej a więc pełnej odstępstw i walki z nimi, czas filozofii Tomasa z Akwinu i wiedzy Bacona z drugiej strony a ciemnoty i zabobonu z drugiej, czas niezwykłej pychy i głębokiej pokory, czas cnoty i występku. Słowem, jest to epoka niezmiernie żywa i pełna przeciwieństw, które ścierając się, niecą jaskrawe iskry ukazujące człowiekowi: ukryte przed nim dotąd części systemu ogarniającego życie całego chrześcijańskiego świata.

Oczywiście, pisarz, nie jest historykiem i nie obowiązują go całkowita ścisłość w malowaniu obrazu przedstawianego społeczeństwa. Wolno mu podkreślić jedne a zaniedbać jedynie inne charakterystyczne momenty czasu. Tworzenie nie jest jednak przetwarzaniem; swoboda autora nie jest nieograniczona.

Akcja książki Malewskiej toczy się zasadniczo w środowisku cechowego mieszczaństwa, często skreca między średnio duchowieństwem zakonne, schodząc w kilku momentach między posiadaczy „klucza do droży” — włóczęgów francuskich gościców. W opisywanym przez autorkę czasie, te właśnie części społeczeństwa średniowiecznego, były najbujniej przesycone ideowymi prądami, wrzały intensywnym życiem umysłowym. Kamienie starych katedr mówią o tych sprawach bardzo mało w przeciwieństwie do licznych dokumentów pisanych, lecz odnosimy wrażenie, że Malewska, niestety, słucha tylko kamieni. Obraz przedstawiany przez nią czytelnikowi, można z powodzeniem omówić słowami mistrza Mateusza, jednego z bohaterów książki. „Niby w kółku święconą kredą zakreślonym...” toczy się życie ludzi Malewskiej.

Spoleczeństwo średniowieczne było zorganizowane w szeregu korporacji, to prawda, lecz prawda ta nie oznacza powszechnego zadowolenia z obowiązujących norm życia. U Malewskiej, Adam budujący katedrę, Klimek robiący almarie, Hillary, który opowiada ludziom gadki i przypowieści, jak na franciszkanina przystało — to postacie zupełnie schematyczne. W Beauvais — mieście tkackim — nie słyszymy nic o begardach; wśród franciszkanów, nie słyszymy sporu o regule; między włóczęgami, spotykamy jedynie próżniaków lub obwiesi — raz przemknie się niewyraźny kacerz — a nie ujrzymy golardów — proletariackich satyryków średniowiecza. Słowem, obraz społeczeństwa średniowiecznego wyszedł spod pióra Malewskiej pozbawiony rumieńców życia. W gruncie rzeczy trzynastowieczność tego środowiska, określają jedynie wspomniane przez autorkę fakty i postacie historyczne.

Można uznać prawo autorki do tak daleko idącej stylizacji i przypuszczać, że interesujące ją momenty epoki, leżą poza płaszczyzną stosunków społeczno-kulturalnych. Tym niemniej stylizacja nie jest chyba przeprowadzona z miłością do samego stylizowanego i reżys dokonany na opisywanej rzeczywistości, był Malewskiej potrzebny. Nie wiedzą wątpliwości, że społeczeństwo średniowieczne jest tu tylko tłem, lecz to to zostało świadomie przetworzone. Ten chirurgiczny zabieg na epokę, pozwala na nadanie jej charakteru, jaki się powszechnie i niesłusznie średniowieczu przypisuje, charakteru czasu triumfu ducha nad materią. Tymczasem stwierdzić należy, iż w płaszczyźnie stosunków tych dwu elementów historia średniowiecza jest historią szeregu stopniowych kompromisów ducha na rzecz materii. Wiek trzynasty kompromis ten zastaje w fazie daleko posuniętej.

Wokół budowy katedry w Beauvais, pokazując autorka perypetie czterech postaci. Są to: mistrz Mateusz, mistrz Hugo, brat Hilary, i Ludwik IX, Ciesła, architekt (?), franciszkanin i król. Z pomiędzy ludzi szarych, wyróżnia tę czwórka fakt, iż każdy z nich na swój sposób nie godzi się z otoczeniem, każdy pragnie wyjść poza powszechnie przyjęte ramy życia i niepowodzeniem kończą się te usiłowania. Nedzą i tradem placu Mateusz za bunt, przeciw obowiązkowi majstra cechowego normom. Śmierć samobójczą kończy namiętna, niecierpliwa pogoń Hugona za sensem życia. Nóż zbója przecina apostoła, nie z tego świata życie Hilarego. Kleska zamykają się wzniosłe, lecz nie realne dążenia Ludwika IX, błędnego rycerza zamierzającego ideę kruciat.

Znajdujemy więc w powieści cztery indywidualności nie mieszczące się w ramach współczesnego im życia. Uogólniając szeroko znaczenie słowa konflikt, możemy mówić o czterech konfliktach jednostki ze społeczeństwem. Pogląd Malewskiej na własnych bohaterów i ich konflikty, pozwala ustalić, która z postaci reprezentuje w oczach autorki wartość najwyższą. Zgodnie z stopniem uznania pisarki, wymieńmy je raz jeszcze. Apostoł, błędny rycerz, duch niepokojny i buntownik. Klasyfikację ową uzależnia autorka od stosunku swych bohaterów, do tego, co krótko choć niezbyt ściśle nazwać by można „duchem epoki“. Franciszkanin i król są temu duchowi wierni, pragną go utrwalic i wszczepić głębiej w społeczeństwo. Architekt zmaga się z nim a cieśla po prostu go odrzuca.

Zagadnienie konfliktu jednostki ze społeczeństwem rozpatrywane pod kątem wartościowania idei niesionych przez jednostkę, pozwala odróżnić dwa typy konfliktów: konflikt reformatora i konflikt buntownika. Szukając przykładów w literaturze, wskazać można reformatorów w doktorze Stockmanie i Lorenzaczu, podczas gdy Werther i Don Kichot pozostają tylko buntownikami. Spójrzmy tak na postacie Malewskiej.

Obyczaje i przepisy cechowe oraz obowiązujące normy moralności nie odpowiadają wybułałej indywidualności Mateusza, któ-

ry w starciu z nimi zostaje zmuszony do opuszczenia swej korporacji, co w konsekwencji spycha go na dno społeczeństwa. W walce Mateusza nie ma pierwiastków reformatorskich, bo jedynie pycha dobrego majstra i samowola kierują na przemian jego postępowaniem. Można się zastanawiać skąd bierze się ta hardość właściwa mieszczaństwu, co dobrze już w piórka porosło — a więc mieszczaństwa o wiek cały starszemu niż współczesne Mateuszowi — u wnuka niewolnego chłopca i rzemieślnika w drugim dopiero pokoleniu? Można sądzić, iż bunt Mateusza byłby prawdopodobniejszy, gdyby opierał się o ideeowe, — religijne lub społeczne — pobudki. Nie można jednak zaprzeczyć, iż tak jak go Malewska pokazuje, Mateusz jest buntownikiem i w konflikcie z nim społeczeństwo zyskało pozbawiając się inuadnego człowieka.

Konflikt Hugona nie wychodzi na ogół poza granicę rozterk wewnętrznych, tak że pozostaje społecznie obojętny. Szkoda nam jedynie dobrego fachowca, choć z drugiej strony trudno nam nie przypisać mu odpowiedzialności za katastrofę katedry. Sposób budowania w południowych Włoszech, był zgoła odmienny od tego jaki stosowano w północnej Francji i powierzenie kierownictwa prac w Beauvais Hugonowi jest daleko idącą licentia poetica autorki.

Ludwik IX poznany poprzez książkę Malewskiej spełnia doniosłe społeczne zadania poskramiając wasali i fundując instytucje królewskich sądów. Wspomina o tym autorka dość mimochodem, koncentrując swe zainteresowanie osobą króla w związku z podejmowanymi przez niego krucjatami. Szczególnie trudno z ożmieć nam stosunek usark do ostatniej wyprawy, którą — jak sama to sugeruje — podejmował Ludwik z całą świadomością Leżnadszejności zamiaru. Nie mamy uznania dla heroicznych gestów. Ofiara jaką z siebie samego i ze swych żołnierzy złożył Ludwik wyznawanej idei, wydaje nam się zgoła pozbawiona wartości.

Brat Hilary wielbi założyciela swego zakonu, czeł króla i pokornie słucha papieża. Szczerze i żarliwie głosi ewangelie ubóstwa i pogardy dóbr doczesnych. O tym, że Ludwik IX suto i wyszukanie karmi daleko już od reguły mistrza odeszłych franciszkanów, o tym, że właśnie Innocenty IV pozwolił traktować mnichów, pragnących utrzymania pierwotnej reguły, jako „burzycieli zakonu, szczytników i kacerzy“ brat Hilary nie wie. Szczęśliwa jest dla niego ta niewiadomość, gdyż w razie przeciwnym miałby może jakieś wątpliwości. W tym wypadku retusz autorki był istotnie konieczny, by ten apostołski mnich mógł ze spokojem pełnić swe posłannictwo. Nam jednak głoszenie ewangelii ubóstwa przypomina pewną balladę, jaką w dwieście przeszło lat po śmierci Hilarego napisał jeden z tak umiłowanych przez franciszkanina ubogich włóczędzów. Ballada nosi tytuł: „Przeciwzręczenie Frangotrowe“ i tak brzmi jedna z jej zwrotek:

Chleb jedzą suchy, gruby, owsiany,  
Y pią wodę, ile dni jest w roku;  
Ha! wszystkich piasną śpiew zaczarowały,  
Nie obstałby mi, przy takim wyroku,  
Ni na dzień jeden, na jeden poranek.

Ba, ja tam swola będę prawil leno:  
Niemasz nic w świecie nad wygodne  
życie\*\*)

Nie wydaje nam się, by dziś warto było nawet tesknic do ewangelicznego ubóstwa. Od tej idei średniowiecze odeszło pierwsze i odeszło daleko.

Przyjrawszy się bohaterom Malewskiej nie znajdujemy w nich walołów, po które warto by było wracać do takiego nawet trzynastowiecza jakle nam autorka demonstruje. Ludzi pokroju Mateusza czy Hugona spotkać możemy i dziś, przy czym zrozumiemy ich łatwiej. Nie obce są nam też nieprzemysłane i uparte imprezy kierowników społeczeństw. Apostołów w rodzaju Hilarego spotyka się niezmiernie rzadko. Jest to rezultat rozpowszechnienia się diabelskiej sztuki druku i czytania, dzięki którym ludzie więcej wiedza i szybciej dowiadują się o wynikach konfrontacji swych idei z życiem. O czym więc mówią kamienie niedokończonych katedry w Beauvais? O ślepkiej, cierpliwiej pracy jej twórców? Niewątpliwie. O strzelistych dążeniach ducha? Niewątpliwie. Ale mówią też o tym, że duch, co się z materia nie liczył, doprowadził do katastrofy. Mówią o tym, że zamysł ludzki musi mieć oparcie w tworzywie, bo na ziemi budują się z materii. Dlatego właśnie książka Malewskiej, wyrażająca tęsknotę do czasów pogardy materii, ma dla nas smak nieporozumienia. Nieporozumienia tym jaskrawszego, że dla przeprowadzenia swej tezy autorka musi retuszować epokę; nieporozumienia tym trudniejszego do naprawienia, że książka napisana jest z dużym kunsztem.

Edward Szuster

\*\* (Franciszek Villon. Wielki Testament. Przełożył Boy-Zeleński).

## PRZEGLĄD PRASY

Minęła niedawno druga rocznica pojawienia się, w dniu 3 września 1944 r. w Lublinie, pierwszego numeru „Odrodzenia“, najstarszego w niepodległej Polsce periodyku poświęconego sprawom kultury, pierwszej trybuny, która w pośpiechu walki i odbudowy dała głos ludziom pióra, nawiązując do brutalnie przerwanego przez okupanta podstaw naszego życia umysłowego. Leżący przed nami numer czasopisma, tak trwale już z historią nowego etapu naszej państwowości związanej, jest 95 — tym koleją a więc bliskim jubileuszowej setki. Podwójna okazja do krótkiego bilansu. Jak wygląda dwuletni dorobek „Odrodzenia“? Dwieście i siedem numerów, blisko dwa roczniki, — to już folia nieleada. Najlepszą chyba miarą wysokiej oceny na jaką zbiór ten zasługuje jest jego pożyteczność dla krytyki, jego niezastąpiony charakter źródła dla kogokolwiek, kto od samych początków przedświadczył chęć do dzieła rozwoju polskiej myśli społecznej i literackiej od momentu zrzucenia okupacyjnej czapki — niewidki. Zwłaszcza okres pierwszy, w którym „Odrodzenie“ było przez długi czas jedynym ogólnopolskim pismem literackim — to okres, którego historii nie będzie mógł poznać nikt, kto numerów „lubelskich“ czy też później krakowskich z zimy i wiosny 1945 r. nie weźmie do ręki. Nie znaczy to oczywiście, by etap późniejszy był w rozwoju pisma mniej interesujący; tylko naturalnej rzeczy kolejną postawione zostało wobec surowych wymagań prawa „konkurencji“. Około dziesięciu periodyków literackich pełni dziś tę funkcję, którą swego czasu pełniło jedno „Odrodzenie“. Tym bardziej godny podniesienia jest fakt, że pismo nadal produkuje naszemu życiu kulturalnemu. Przeważnie choć niewątpliwie poza najlepszymi warunkami technicznymi, środowisko krakowskie nie ułatwia sprężystej redakcji zadania utrzymania podstawy tygodnika postępowego i walczącego, wiernego pielnym tradycjom Lipcowego Manifestu.

Podkreśla się zazwyczaj mówiąc o „Odrodzeniu“ jego dwa okresy: lubelski i krakowski. Myślę, że z dzisiejszej perspektywy można by mówić już trzech: lubelskim, krakowskim okresem pierwszym i drugim, przy czym granicę, mniej niż poprzednią wyraźną, znaczący moment powstania i ugruntowywania się innych pism literackich — wejście „Odrodzenia“ spod znaku ogólnopolskiej reprezentacji pod znak nowych, specjalnych, określonych nową sytuacją funkcji i zadań. O sentymentalnych i bliskich każdemu, kto choćby, jak piszący te słowa, przeżył je, czasach narodzin pisma, legendarnych czasach lubelskich, pisano już sporo. Ważniejsza jest teraźniejszość, obecny etap rozwoju tygodnika, o tak pięknej przeszłości.

Bogata byłaby i liczba nazwisk i zakres zagadnień poruszanych przez pismo w ciągu jego dwuletniej egzystencji. Nie wątpimy, że idąc w tym względzie za najlepszymi wzorami, redakcja sporządzi przy jakiejś okazji i dołączy do któregoś z numerów (może noworocznego?) rzecz tak ułatwiającą korzystanie z kompletu czasopism jak indeks bibliograficzny przynajmniej niektórych, ważniejszych zawartych w nim prac z podziałem według autorów i według zagadnień. Czegoż to tam nie było!

Najżywniejsze reformy państwowe i sprawy kultury, wspomnienia z okresu okupacji i relacje z walki, sprawy literatury i literatury sama, sprawy najdramatyczniejsze i najboleśniejsze, najpiękniejsze i najbardziej ponure. To „Odrodzenie“ w cyklu artykułów jeszcze okresu lubelskiego poruszyło pamietną i bolesną sprawę warszawskiego powstania. To „Odrodzenie“ zapoczątkowało dyskusję na temat stylu przyszłej polskiej literatury i prowadziło ją długo na „wychłamałach“, nim przeniosła się już na dobre rozpalona, do innych pism. „Odrodzenie“ artykułem M. Jastruna poruszyło, uprzedzając wypadki krakowskie, — sprawę żydowską. „Odrodzenie“ pierwsze dało miejsce nowej polskiej prozie, prozie dokumentarnej, ogłosilo konkurs na nowelę o tematyce okresu wojny. „Odrodzenie“ pierwsze regularnie i sumiennie piórem Wyki, Macha i innych zaczęło informować społeczeństwo o nowych wydarzeniach na rynku wydawniczym. Żywności swej pismo nie traci i dziś, nie minęło dwa miesiące jak na łamach „Odrodzenia“ rzucone zostało zarzewie podłej, twórczej dyskusji na temat malarstwa.

„Odrodzenie“ dzisiejsze, — co tu dużo mówić, — mimo powodzi literacko — społecznych periodyków, mimo różnorodnej „konkurencji“ pism nie tylko regionalnych, ale i stołecznych — to jedna z niewielu pozycji torujących drogę idei postępu, jedno z niewielu ognisk rzetelnej wiedzy o Nowej

Polsce, pozycja naczelna jeśli idzie o pismo stojące na szerokiej płaszczyźnie demokratycznej, skupiające na swych szpaltach wszystkich, którym bliska jest sprawa odbudowy naszej kulturalnej rzeczywistości.

Nie sposób zaprzeczyć, że, jeśli o to ostatnie idzie, „Odrodzenie“ jest właśnie nadal jedynym pismem tego typu w Polsce. „Kuznica“ jest pismem skupiającym wyłącznie ludzi związanych z ruchem lewicowym. Inne pisma kulturalne o zakresie ogólnopolskim mają charakter katolicki („Tygodnik Powszechny“, „Tygodnik Warszawski“, „Dzisiaj i Jutro“). Poza tym istnieją pisma o charakterze wyraźnie regionalnym. Stoica nie zdobyła się dotąd mimo licznych prób na żadne pismo, które by mogło odegrać rolę podobną do tej, którą spełnia „Odrodzenie“.

Czy przy tych wszystkich właściwościach i przymiotach, określających odpowiedzialną sytuację, pismo „Odrodzenie“ spełnia swoje zadanie? Czy nie należy postawić pod jego adresem żadnych zarzutów?

Zarzuca się często „Odrodzeniu“, że jest pismem eklektycznym. Ze nie ma zdecydowanego oblicza tak jak „Kuznica“ czy pisma katolickie. Wydaje nam się, że jest to zarzut niesłuszny. „Odrodzenie“ jest pismem stojącym całkowicie na gruncie tej rzeczywistości społecznej, jaką określa Manifest Lipcowy. Nie jest pismem bezkompromisowo oddanym ideałom jednej z grup politycznych czy ideowych, ale nie jest też bez wyrazu. Wie o tym dobrze „Tygodnik Powszechny“, a wiedza sasiadał jak kto siedzi. Przeciwnicy obozu reformy w Polsce uważają zazwyczaj „Odrodzenie“ i „Kuznicę“ za „jadące na jednym wózku“, zwolennicy — przeciwnie — za „konkurencję“. Wydaje nam się, że ani jedni ani drudzy nie mają racji. „Odrodzenie“ jest naszym cennym, najcenniejszym sojusznikiem w sprawach najbardziej zasadniczych, czym różnimy się — naprawdę wie każdy uważny czytelnik. I tu jednak rozróżnić trzeba odmienną stanowisk — od zarzutów. Odmiennie nieco stanowisko „Odrodzenia“ w zakresie ocen artystycznych, formalistyczny punkt widzenia w ocenie poezji — to nie źródło zarzutów, lecz stwierdzenie „inności“. Uwydatnia się ona także w metodzie krytyki dzieł literackich, w „Odrodzeniu“ formalistycznej, u nas — socjologicznej. Zarzutem byłoby natomiast próby łączenia punktu widzenia ściśle formalistycznego przy ocenie literackiej młodych z urzędową etykieta drukowania starych akademickich autorów. Jeśli to drugie dla pisma ogólnopolskiego jest ważniejsze — ocena młodych nie może jednocześnie iść po linii upodoban bardzo, powiedzmy sobie, nieakademickich.

Ostatnie numery „Odrodzenia“, które pod względem szaty zewnętrznej jest stałym przedmiotem naszej zaszłości i nieustającej troski, by drukarnie łódzkie uczynić narzędziem choćby w 1/4-ej tak doskonałym, jak składy i rotacje red. Kuryluka, przyniosły nowe i nie tylko techniczne ulepszenia pisma, któremu często groził nadmiar zbyt innej powagi i oficjalności.

Na pierwszej stronie pojawiły się krótkie, interesujące i głębokie artykuły polityczne, na ostatnich obok omówień wydawnictw, przeglądu prasy i korespondencji — wzorem naszym i „Tygodnika Powszechnego“ — nienazwane w ten sposób, tym niemniej podobna rolę odgrywające drobne „noty“. Cecha „Odrodzenia“, która korzystnie wyróżnia je spośród innych periodyków, jest niezwykła staranność i fachowość z jaką pismo jest redagowane. Można liczyć, że jeśli jego „dynamizacja“ okaże się cechą trwałą, w co nie należy wątpić, dobiegające setki numerów „Odrodzenia“ zachowa nadal swoją naczelną pozycję w polskiej prasie literackiej.

r. m.

### TRZECI NUMERU 39:

Sokołowski Kazimierz — Odpowiedź emigrantom. Zawilski Apoloniusz — Przyczynek kłeski wrześniowej 1939. Elle Henryk — Z dzieł odbudowy Warszawy. Libera Zdzisław — Sceptyk czy entuzjasta. Żulawski Juliusz — wiersze. J. H. — Nowe rysunki Picassa. Kochańczyk Michał — Wyprawa na Diego Suarez. Podkowiński Marian — Koniec Norymbergi. Margal Marjusz — Ziemia Zachodnie. Matuszewski Ryszard — W kręgu nostalgii i dobrej wiary. Krasnowiecki Wł. — Na marginesie reżyserskiej roboty nad „Starym Dworem“. Ułaszyn Henryk — Województwo pruskie, mazurskie czy wschodnio-pomorskie. Huszcza Jan — Fraszki. Noty.

## KAZIMIERZ BRANDYS MIASTO NIEPOKONANE

OPOWIEŚĆ O WARSZAWIE GROZY I NADZIEI

„Niechaj mnie natchnie to miasto dokładną pamięcią...  
aby żadne kłamstwo nie wyszło mi spod pióra i nie umniejszyło wielkości jego prawdy.“

(Z przedmowy autora)

»KSIĄŻKA«

### SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

»KSIĄŻKA«

SIERPIEŃ — WRZESIEŃ — 1946 rok

CENNE WZNOWIENIA

BOY

SŁÓWKA

zł 320,—

BALZAC

DWAJ POECI

zł 100,—

STRACONE SZLUDZENIA

zł 220,—

CIERPIENIA WYNAŁAZCY

zł 190,—

BLASKI I NĘDZE

ŻYCIA KURTYZANY

zł 280,—

OSTATNIE WCIELENIE VAUTRINA

zł 170,—

M. GOGOL

MARTWE DUSZE

zł 160,—

»KSIĄŻKA«

# N O T Y

## Mobilizacja

Kilku księży francuskich wydało zbiorową broszurę pod dość dziwnym tytułem „Karol Marks czy Jezus Chrystus?” Zgodnie z tym „alternatywnym” tytułem, treść broszury, opatrzonej urzędowym „imprimatur” władz duchownych, jest ostrym atakiem przeciwko polityce partii robotniczych i demokracji w ogóle. Ale nie to stanowi siłę autorskich wywodów. Chodzi o coś innego.

Broszura jest próbą usprawiedliwienia, a nawet apologią rządów Vichy, rządów Petaina i Laval'a, którzy za zdradę kraju skazani zostali na śmierć przez sądy francuskie. Oto w jaki sposób charakteryzuje broszura stosunek Kościoła do haniebnego reżimu Vichy:

„Kościół nie miał powodu stawać w systematycznej opozycji wobec posunięć rządu Vichy. Kościół miał nawet pełne prawo pochwalić zasługi i uznać za szczęśliwe rezultaty tych posunięć. Niech wysuwają pretensje do nowych biskupów za to, że aprobowali zerwanie przez marszałka Petaina z pewnymi tradycjami tak zwanymi republikańskimi; nie mamy potrzeby bronić biskupów, lecz możemy ich gloryfikować. Oni musieli jedynie przyklasnąć, wraz z całym światem (!), zlikwidowaniu zarządzeń czystego totalizmu (?)”.

Trzeba było ustalić dyskryminację szczególnie delikatną w stosunku do ludzi, którzy podjęli się nadludzkiego — czy nawet nieludzkiego zadania pertraktowania z okupantem, próbując ocalić naród.

Niektórzy przedstawiciele duchowieństwa francuskiego zasadę obrony zdrajców i kolaborantów stosują bardziej czynnie. W tych dniach aresztowano w Marsylii jednego z szefów b. milicji faszystowskiej, który przez szereg miesięcy ukrywany był w klasztorze, w okolicy Tarn; gdy dalszy pobyt zbrodniarza w klasztorze stał się niebezpiecznym, zakonnicy przetransportowali go do Marsylii, zaopatrując w żywność i pieniądze...

Z lotniska rzymskiego uciekł niedawno samolotem ukrywający się dotychczas b. minister faszystowski — Rossini. Uciekł, jak wykryła policja — w przebraniu księdza, a prawdziwi księża zorganizowali i ułatwili te ucieczki. Podobnych afier było już we Włoszech sporo.

Arcybiskup Cardina, pozazdrościwszy laurów stłumionemu kardynałowi Grifitowi, zwrócił się z oświadczeniem do... katolików hiszpańskich, pisząc w madryckim dzienniku „ABC” takie słowa: „Nie tylko rozumiemy was i darzymy sympatią, lecz zanosimy błagania do Boga, aby ocalił Hiszpanię przed machinacjami wszystkich jej przeciwników. Istnieje solidarność wiary i uczuć między katolikami angielskimi wbrew fałszywej i oszczerczej propagandzie. Prawda otwiera sobie drogę do Anglii i nawet protestanci zdają sobie sprawę, że Hiszpania dzięki swojej wojnie ocaliła Europę...”

Franca — Anglia — Hiszpania — Włochy... Montowanie „bloku zachodniego” na odcinku kościelnym czyni szybkie postępy. Ale bądmy obiektywni. Natężenia watykańskie płyną na wszystkie strony świata, nie tylko w kierunku zachodnim. To co obserwujemy na naszym własnym podwórku, świadczy przekonująco, że i w Polsce hierarchia duchowna nie jest głucha na wezwania mobilizacyjne przeciwko siłom wolności i postępowi.

## Na prawdę — skandal!

W Nr 262 „Robotnika” prof. dr Zygmunt Szymanowski kreśli osobliwe powojenne dzieje znakomitego polskiego uczonego, wynalazcy szczepionki tyfusowej — prof. Rudolfa Weigla. Prof. Weigel znalazł się ostatnio w Krakowie. Jakże zaś ofiarowano mu w tym mieście warunki pracy naukowej, o tym mówi następujący wyjątek z artykułu prof. Szymanowskiego:

„Dano prof. Weiglowi pomieszczenie w jakiejś kamienicy czynszowej, w której dopiero musiał zakładać gaz i elektryczność, nie dano żadnej aparatury specjalnej, nie dano żadnych warunków pracy. Pozostawiono mu katedrę bakteriologii ogólnej na pierwszym roku studiów Wydziału Lekarskiego, ponieważ to było oficjalną funkcją jego przed wojną. A tymczasem na jego mózg i ręce czekają nowe zagadnienia, choćby tylko sprawa leczenia tyfusu płamistego za pomocą stosowanych leków, zapoczątkowana w Ameryce z wielkimi widokami powodzenia w in-

nych chorobach, wywoływanych przez tę samą grupę zarazków...”

Jak widać z powyższego, „odnośne” referenci „odnośnych” wydziałów w „odnośnych” departamentach i ministerstwach popkpli arcyważną sprawę zorganizowania dla prof. Weigla należnego jego kwalifikacjom warsztatu naukowej pracy. Prof. Szymanowski nazywa to postępowanie „skandalem”. A my — przyłączamy się do tej opinii.

## Credo quia absurdum, czyli przyszłość naszej inteligencji

Spotkałem grupkę swych kolegów z Politechniki, rozmawiających z ożywieniem na tematy polityczne. Znając ich sympatie oczekiwałem ze spokojem słów o nadmiernych roszczeniach Zw. Radzieckiego, o terrorze PFR-u, o wspaniałościach demokracji angielskiej. To jednak, co tym razem usłyszałem, przerosło nie tylko moje zdolności krytyczne, ale przekroczyło granicę mojej wyobnaźni.

Oto jeden z kolegów, Ryszard Z., opowiadał z przejęciem o wspaniałym kazaniu w kościele na Żoliborzu, w którym ksiądz (nazwiska niestety, nie wymienił), zgromił obecnych za niewiarę w cuda. „I w dwudziestym stuleciu zdarzają się cuda — mówił ksiądz z kazalnicy — trzeba tylko umieć je dostrzec nieuprzedzonym okiem. Oto w czasie ofensywy w 1945 roku, nastawili bolszewicy, zbliżając się do Częstochowy swoje diabelskie katusze na Klasztor Jasnogórski. Święte miejsce zostałoby na pewno zniszczone, gdyby nie jawny cud. Wyrzucone z armat bezbożników pociski, nie trafiły w cel, ale wpadły... do morza!”.

Gdy wśród kolegów odezwały się głosy niedowierzania, Ryszard Z. obruszył się i stwierdził, że wiadomość ta jest w 100% pewna.

Ryszard Z. jest dyplomantem i niezadługo otrzyma tytuł inżyniera. Prawdopodobnie zajmie jakieś odpowiedzialne stanowisko w przemyśle, bo jest chłopcem pracowitym i zdolnym.

## Groźne fakty

Wynagrodzenia w różnych instytucjach państwowych są, jak wiemy, dalekie od ujednostajnienia. Ma to swoje częściowe uzasadnienia w obiektywnie ustosunkowanej społecznej ważności różnych prac. Rozumiemy potrzebę uprzywilejowania górników. Każdy w własnym interesie gotówby nawet w własnej kieszeni dołożyć, by wydobycie węgla, jedynej naszej waluty, rosło coraz szybciej. Ale nikt z nas nie zrozumie, dlaczego pensja młodej aktorki (w Państwowym Teatrze) jest większą niż pensja profesora wyższej uczelni. Dlaczego więcej od uczonego zarabia woźny w Zjednoczeniu Przemysłu Gumowego? Ostatnio uczeni

nasz otrzymali 1.500 zł podwyżki, ale odebrano im wszelkie przydziały żywnościowe. Pensja profesora nie przekracza 6.000 zł. Uczonych zostało nam na lekarstwo. Są to przeważnie ludzie starsi trudno im dorobić, nawet piórem. Ich prace specjalne, niestety, tak samo jak i przed wojną, nie łatwo dają się spieniężyć.

A przecież zaniedbywanie losu tych ludzi jest szkodnictwem, jest przeciwdziałaniem dziełu odbudowy. Bez nich nie ruszymy z miejsca. Od nich zależy wypełnianie luk w kadrach naszych specjalistów.

Specjalna opieka nad tymi kilkuset ludźmi, nie obali równowagi naszego budżetu, nie zagrozi inflacją.

Przynajmniej ci z profesorów wyższych uczelni, którzy ukończyli pięćdziesiąt lat życia, powinni otrzymywać mimo ogólnych norm — takie wynagrodzenia, by mogli pracować dla nauki, bez troski o każdy obiad.

Wiedziałem się z jednym z najważniejszych naszych uczonych, zasłużonym wychowawcą wielu naukowców i nauczycieli, pionierem postępu społecznego, człowiekiem wielkich osobistych wartości. Jest dziś starcem chorym od lat. Stan jego wymaga starań, opieki lekarskiej, dobrobytu. Państwo ma obowiązek zapewnić mu to wszystko. Tymczasem żyje w biedzie jakiej nigdy nie doświadczał, i nie dziwnego — staremu trudno zarabiać. Nie dziwnego — ale wstyd, do pioruna! Człowiek ten od Ubezpieczalni Społecznej nie może uzyskać koniecznej bezpłatnej kuracji, w jednym z krajowych uzdrowisk, mimo wietlotygodniowych starań. Nie ma zaś żadnej instytucji, żadnych domów wypoczynkowych, żadnych sanatoriów, któreby tylko dla uczonych były przeznaczone.

Akademia Umiejętności mimo długich uporczywych starań nie dostaje jak dotąd specjalnej dotacji na uruchomienie jedynej swojej stacji naukowej za granicą. Stacji, która by spełniła wielorakie i niezwykle ważne zadanie pośredniczenia między uczonym i ruchem naukowym krajowym i zagranicznym, która by pośredniczyła w sprawdzaniu książek, czasopism, dokumentów, w robieniu odpowiedzi na wypisów z materiałów naukowych, zagranicznych itd.

Co to wszystko ma znaczyć? Czy dżuma wybiła ostatnio tylu rozsądnych ludzi, którzy znaleźli w Ministerstwie Oświaty? Apeluję do Rady Szkół Wyższych, która się ukonstytuowała w tym tygodniu.

Trudno mi zakończyć te uwagi, bo trzeba by jakoś określić, nazwać przytoczone fakty. A w słowniku prozajowego publicysty do prawdy nie ma dość odpowiedniego wyrażenia.

## Tużim po hebrajsku

Nakładem wydawnictwa „Adi” (Tel-Aviv) ukazał się ostatnio wybór wierszy Juliana Tuwima w przekładzie hebrajskim Beniamina Tenenbauma. Na książkę złożyło się 47 utworów. Umiejętna selekcja materiału sprawia, że dają one — w szczupłych ramach kilku arkuszy druku — przekrój twórczości największego poety polskiego doby obecnej.

Beniamin Tenenbaum, warszawianin, już w młodym wieku udaje się jako pionier żydowski („chaluc”) do Palestyny, gdzie wspólnie z towarzyszami w górach skalistych, na pograniczu Gallei buduje osiedle Ejlon. Praca na roli nie odrywa go od twórczości poetyckiej, która zapoczątkował już w Warszawie. Zbiory wierszy „Ojczyzna”, „Dłutem boleści”, tom sonetów „Zawiane liście” oraz poemat „Rzecz galilejska” w krótkim stosunkowo okresie czasu rozslawiają jego nazwisko wśród czytelników palestyńskich.

Lecz Tenenbaum zachował głęboki sentyment dla polskiej literatury i daje temu wyraz w mistrzowskich przekładach poezji i prozy. Spod jego pióra wyszły i ukazały się w druku przekłady „Hymnów” Witlina, wierszy Broniewskiego, Leśmiana, Słonimskiego, „Soli Ziemi” Witlina i „Płomieni” Brzozowskiego.

Na specjalną uwagę zasługuje przekład wierszy z okresu okupacji — „Z otchłani” (nakładem wydawnictwa „Gazith”). Niepokajny ten tomik ma swoją historię. Utwory Mieczysława Jastruna, Czesława Miłosza, Jana Kotta i Michała Borwicza wydrukowane konspiracyjnie w podziemnej typografii, wysłane zostały jako mikrofilm do Londynu. Stamtąd przelatywały się do Ameryki, gdzie wyszły w formie książkowej z przedmową Józefa Witlina. To właśnie wydanie przełożył na język hebrajski Tenenbaum.

Jeśli chodzi o przekłady wierszy Juliana Tuwima, przyznać trzeba, że talent tłumacza zajął w nich w całej pełni. Abstrahuje od bogactwa słów, dojrzałości formy — przekład jest niebywale wierny, prawie że dosłowny. Nie wolno przy tym przeczyć trudności językowych, jakie piętrzyły się przed tłumaczem. Miękkosć, melodyjność i giętkosć słowiańskiej mowy z trudem tylko daje się odtworzyć w monumentalnym języku biblijnym, pełnym twardych i gardłowych spółgłosek. Słowo polskie ze swoim (cytuje Tuwima) „na mur ustabilizowanym akcentem” najmniej nadaje się do przekładu na przegobaty w rymy męskie język hebrajski. Troskliwy tłumacz i z tych trudności wychodzi obronną ręką.

Beniamin Tenenbaum, który pracuje obecnie nad antologią poezji polskiej w języku hebrajskim, przełożył też dla dzieci palestyńskich „Lokomotywy” Tuwima, która ukazała się niedawno w luksusowym, bogato ilustrowanym wydaniu.

H. Safran

## WYSTAWA OBRAZÓW

Spółdzielnia Pracy Polskich Artystów Plastyków w Łodzi zorganizowała wystawę obrazów trzech malarzy, różniących się między sobą zasadniczo i poziomem artystycznym swoich prac i stylem. Rozmaitość stylu mogłaby stanowić o bogactwie wystawy i bardzo podnieść jej atrakcyjność, gdyby nie to, że różnice poziomów są tak oczywiste.

Niewątpliwie interesujące są obrazy Albina Lubniewicza. Należy przypuszczać, że jest to wybór prac z jakiegoś dłuższego okresu, bowiem ewolucja postawy malarzkiej da się określić zupełnie wyraźnie. Takie jego obrazy jak „Śniadanie”, pejzaż „Lato”, czy „Droga” — są to rzeczy, tkwiące jeszcze całkowicie w atmosferze wzorów wczesnego impresjonizmu. Uległość wobec

tych wzorów pozbawia w pewnym stopniu obrazy te autorskiego piętna indywidualnego, chociaż jednocześnie są to prace najmocniejszej kompozycyjnie zorganizowane. Inne, jak „Martwa natura II” i „III”, to już rzeczy bliższe współczesnemu realizmowi. Wprawdzie za mało jeszcze „syntetycznie” ujęte, trochę gubiące się w zbyt równoważnych szczegółach — i przez to kompozycyjnie może słabsze od tamtych, ale za to silniej ukazujące artystyczne ambicje autora i jego stosunek do rzeczywistości, mocniejsze w gatunku plastycznego wyrazu, ciekawsze w swych gamach barwnych i w sposobach nakładania farby. Są to obrazy z ostatniego okresu — i dają bardzo pochlebne dowody talentu i możliwości rozwoju Lubniewicza w kierunku coraz doskonalszego, realistycznego budowanego malarstwa.

Obrazy Maurycego Bromberga — to przeważnie pejzaże z jego wschodnich podróży, ciekawe dzięki swej egzotycznej tematyce, ale malowane na ogół szablonowo, bez zbyt-nych ambicji artystycznych.

Maciej Nehring w swych akwatałach uprawia niestety, zbyt tanie efekty. Jeżeli najgorzej nawet namalowany akwarelą pejzaż przemija się następnie gąbką — to uzyskuje się coś w rodzaju mglistego, romantycznego nastroju i całość pozornie jednolita, ale jest to rezultat zastosowania środków czysto mechanicznych, a nie rezultat wysiłku artystycznego.



A. Lubniewicz

„Przy śniadaniu”

Juliusz Żufawski

CENY OGŁOSZEŃ: Pł. umiark. 60.000; 1/2 kolumny 30.000; 1/4 kolumny 15.000; 1/8 kolumny 8.000; 1/16 kolumny 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł msi na 1 szpalce.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D—011080

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42

Wydawca: Zespół „Kuznicy” — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.